

KUŹNICA

Rok III

Łódź, 3 czerwca 1947 r.

Nr 22 (91)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

PAWEŁ HERTZ

GODZINA NAD KSIĄŻKĄ CHAMFORTA

MIKOŁAJ-SEBASTIAN ROCH, tyle bowiem miał imion, co zresztą jest rzeczą zwykłą w owej epoce, Chamfort urodził się w 1741 roku w Ower-nii, niedaleko Clermont. Był dzieckiem nieślubnym, synem naturalnym, jak nie-dawno jeszcze u nas mawiano, sądząc w ten sposób okrutnie dzieci zrodzo-ne ze ślubnego małżeństwa. Wiek osiem-nasty był bardziej tolerancyjny dla tych drażliwych rzekomo spraw. Bardziej niż mieszczański wiek dziewiętnasty, któ-ry zresztą mógłby wyglądać nieco inaczej, gdyby nie pisma Chamforta czy d'Alemb-erta, również zrodzonego poza prawem. Nastając z takim uporem na brak for-malności prawnych związanych z narodzi-nami Chamforta, czynię to nie poto, by sprawić przykrość obyczajowym konfor-mistom. Czynię to dlatego, iż wydaje mi się, że cała ta sprawa ma jakieś znaczenie dla kształtowania się umysłu Chamforta, a być może pozwoliła mu nawet na ową niezależność myśli i oceny moralnej tych warstw społecznych, wśród których mu żyć wypadło. Poniżej zamieszczony przekład „Małych dialogów filozoficznych” jest ilustracją tej obyczajowej krytyki Cham-forta.

„Chamfort—pisze Roederer, jeden z naj-wybitniejszych biografów i znawców dzieła autora „Portretów i Charakterów”—był sy-nem kanonika z Sainte-Chapelle. Urodzenie swoje otaczał tajemnicą i nie mówił o tym nikomu z wyjątkiem kilku przyjaciół...” Przyjęty w młodym bardzo wieku pod imieniem Nicolas do bursy kolegium des Grassins, Chamfort szybko się wybił dzię-ki swoim zdolnościom. Po ukończeniu ko-legium Chamfort stanął przed zagadnie-niem wyboru kariery. Nie mógł wybierać pomiędzy stanem wojskowym czy urzę-dem, a nie czuł szczególnego powołania do stanu duchownego. Wczesne lata jego życia nie są dość znane nawet wybitnym jego biografom: wiadomo jednak, że zo-stał pomocnikiem prokuratora, potem udzielał lekcji, wreszcie mając lat dwa-dzieścia znalazł się w Paryżu, nie mając nic, prócz dowcipu, pięknej twarzy i du-chowego stroju, który przybrał jesz-cze przedtem w „nadziei zysku”—jak twierdzi autor przedmowy i wydawca „Dzieł wybranych” Chamforta, de Lescu-re. Oczekując na szczęśliwe losy rozpoczął Chamfort pracę zarobkową. Pracował u kilku księgarzy paryskich i śleczął w tych początkowych latach swojego paryskiego pobytu nad „Vocabulaire francais”, które-go pierwsze tomy — powtarzam za de Lescure — są jego pióro. Chamfort nie gardził również i innym źródłem zarobków — sprzedawał mianowicie swojemu bogat szemu, lecz mniej widać zdolnemu kole-dze, który pokładał więcej ambicji w swo-ją sytuację duchownego, kilka napisanych przez siebie kazań.

Paryż okazał się łaskawy dla Chamforta, jak zresztą zawsze okazywał się łaskawy dla wielkich pisarzy Francji — czasem przed, lecz częściej po ich śmierci. „List ojca do syna o narodzinach wnuka” został nagrodzony przez Akademię w roku 1761. Chamfort staje się sławny. Rozpoczyna wówczas okres życia, o którym wolę zamil-czeć, gdyż miłośne przygody pisarza, po których konieczny był krótki wypoczynek w Spa, nie mają już wiele wspólnego z hi-

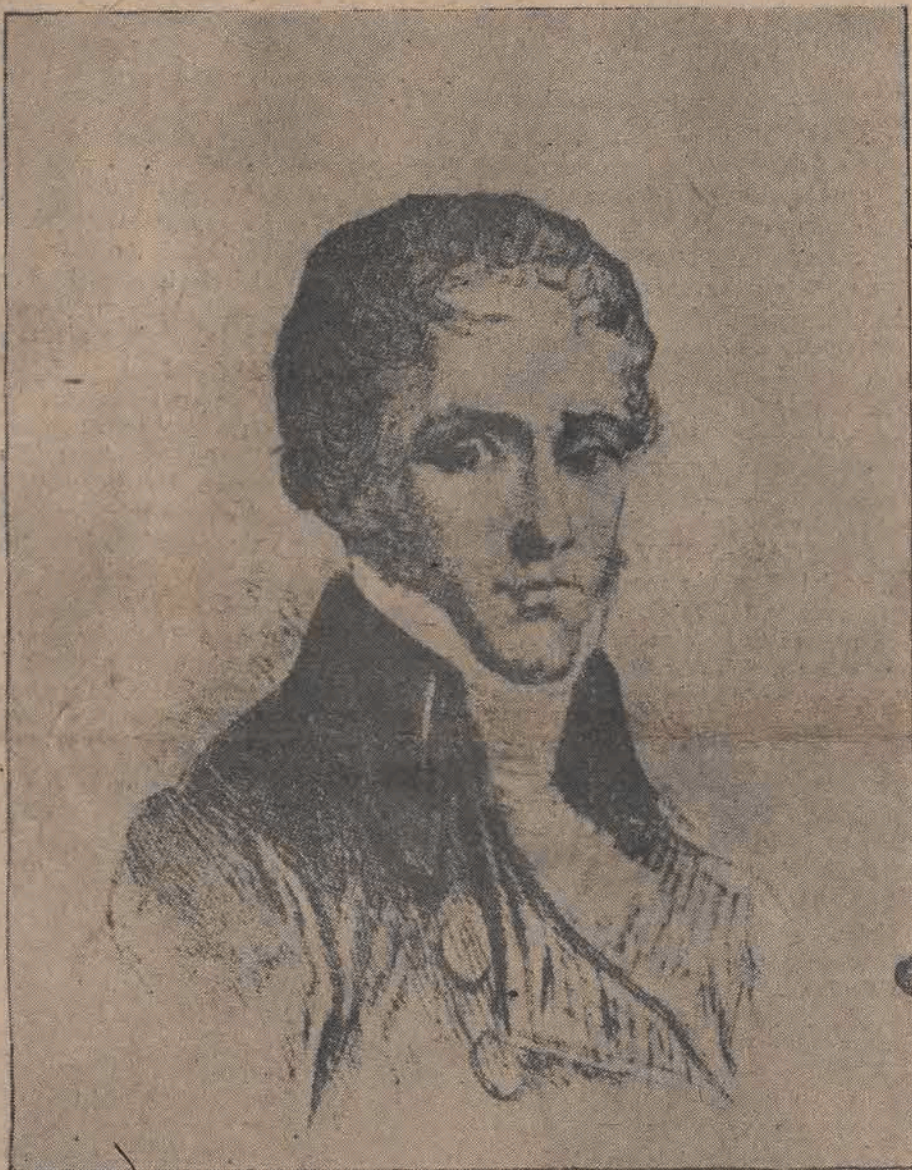
storią literatury, należą natomiast w ca-łości do historii obyczajów owego uroczego wieku. Zresztą Chamfort pozostawił nam obraz refleksji na temat swojego własne-go zbyt swobodnego życia w wydanym w roku 1761 w Kolonii „Liście do przyja-ciela.”

Do roku 1764 powstaje zaledwie jedna rozprawa filozoficzna wierszem: „Literat”, a i ta przepada na konkursie Akademii. Ten okres niepowodzeń nie trwa jednak zbyt długo: komedia „Młoda Indianka” cie-szy się wielkim powodzeniem u publiczno-sci i staje się źródłem dochodów. Od roku 1769 do roku 1770 Chamfort odnosi kolej-ne sukcesy: „Pochwała Moliera” zostaje nagrodzona przez Akademię, „Kupiec ze Smyrny” wchodzi do repertuaru Komedi-i Francuskiej, odnosząc poważne sukcesy. Akademia Marsyjska nagradza jego „Po-chwałę La Fontaine'a”.

W roku 1774 Chamfort ma lat trzy-dzieści pięć, jest chętnie przyjmowany u dworu i cieszy się względami salonów. Rozpoczyna się druga, szczęśliwa i zara-zem niebezpieczna faza życia pisarza.

Pomijam tu niezbyt interesujące nas szczegóły jego biografii, których nie szcze-dzi nam Roederer, a które chętnie powta-rzają wszyscy wydawcy dzieł Chamforta. Pragnę tu jedynie wspomnieć o tym okre-sie jego życia i twórczości, który dziś wy-

daje mi się szczególnie interesujący i pou-czający. Komedia, rozprawy wierszem, przemówienia i rozmaite pseudoklasyczne „Listy” i „Pochwały” Chamforta pokryw-ły dziś kurz zapomnienia. Akademia Fran-cuska, jak się to często akademikom zda-rza nagradzała te jego dzieła, które naj-le-piej przystawały do epoki. Inne jego dzie-la nabrały znaczenia i sławy dzięki temu właśnie, że nieubłagane i ostro krytyko-wały tę epokę. Interesuje nas dziś jedynie autor „Małych dialogów filozoficznych”, anegdot, a także listów z okresu rewolucji. Chamfort zerwał ze światem: mimo, iż wszedł do Akademii, że był związany z księciem Condé, że był lektorem hrabiego d'Artois etc. Wycofał się do Auteuil, które było wówczas jeszcze wiejskim ustroniem. To pragnienie samotności i porzucenie świetnego świata ówczesnego Paryża ancien-regime'u, miało również swoje przyczyny polityczne. Chamfort, jeszcze przed wybuchem Rewolucji, unie-zależnił się od dworu, żył właściwie z własnej woli w dość skromnych wa-runkach. W okresie przedrewolucyj-nym rozpoczyna współpracę z „Mer-cure”, gdzie zamieszcza analizy dzieł dyskre-dytujących monarchię: „Pamiętników” Duclosa i Richelieu. Skolei nawiązuje Chamfort bliskie kontakty z Mirabeau i z Sieysem: staje się ich sekretarzem, doradcą i nierzadko podsuwa im pomysły. Dla



Mikołaj-Sebastian Roch Chamfort

...Literatura i sztuka, jak sądzę, były zawsze nieodzownym współpracownikiem i towarzyszem i nawet ścisłym pomo-cnikiem polityka; pisarz jest współtwórcą polityki i stale, niezmiennie odnawia jej materię:

Edward Benesz

TREŚĆ NUMERU:

- PAWEŁ HERTZ
GODZINA NAD KSIĄŻKĄ CHAM-FORTA
CHAMFORT
Z MAŁYCH DIALOGÓW FILOZO-FICZNYCH
WITOLD ŁUKASZEWICZ
DZIENNIK ARYSTOKRATKI
STANISŁAW SRENIOWSKI
POLSKA — CZECHY
H. TEIGOWA
NOTATKI O WSPÓŁCZESNEJ PROZIE CZESKIEJ
KAZIMIERZ BRANDYS
SAMSON (II)
MIECZYSLAW JASTRUN
WIERSZE
RYSZARD MATUSZEWSKI
TRZYNASZCIE OPOWIEŚCI O ŻOŁ-NIERSKIEJ TULACZCE
ADAM BROMBERG
PLANY I REALIZACJE
WŁODZIMIERZ MICHAJŁOW
NAUKA RADZIECKA
DYSKUSJE PARYSKIE
KOMUNISTYCZNA MORALNOŚĆ (opracował Mariusz Margal).
ANDRZEJ BRAUN
KOBIETA W PARTYZANTCE
JANUSZ MINKIEWICZ
ENTLICZEK - PENTLICZEK
PRZEGLĄD PRASY
KORESPONDENCJA
NOTY

Mirabeau pisze Chamfort „Les considera-tions sur l'ordre de Cincinnatus” oraz słynne przemówienie przeciwko akade-miom, którego wielki trybun nie miał czasu wygłosić. Chamfort opublikował tę mowę sam. Jak wiadomo Rewolucja znio-sła Akademię.

Sieyes rozpoczynając mowę w Zgroma-dzeniu 10 czerwca w roku 1789, rzekł jak to cytuje Michelet w swojej wspomnia-nej historii Rewolucji Francuskiej: „Prze-tnijmy liny, już czas.” Od tej chwili — pi-sze dalej wielki historyk — okręt Rewo-lucji pomimo burz i pomimo ciszy, opóź-niając się lecz nigdy nie zatrzymując, że-glował ku przyszłości.

Chamfort stał po stronie Rewolucji. Nie on jeden — udział wielkich pisarzy Francji w popędzaniu leniwej historii i postępu nie jest mały. Sięgnijmy znów do Micheleta: „Montesquieu pisał o prawie i komentował je, Voltaire oplakiwał prawo i domagał się go. A Rousseau je stworzył.” Mowa tu oczywiście o „Umowie społecznej.”

Ale wróćmy do Chamforta. Garat, je-dna z wybitnych postaci Rewolucji, twierdzi, że autor „Maksym” ofiarował na cele propagandy rewolucyjnej wszystkie swoje oszczędności. Według świadectwa innego współczesnego (hrabia de Lauraguais znanego z bons-mots i z dowcipu) Cham-fort miał być autorem słynnego powiedze-nia Sieyesa, sloganu propagandowego, jak-byśmy się dziś wyrazili, ówczesnej, mieszczańskiej rewolucji: Czym jest stan trzeci? Wszystkim. Co posiada stan trzeci? Nic. Chamfort — jak to zgrabnie wyraził de Lescure, dla którego udział autora „Mak-sym” w Rewolucji jest zresztą pożałowa-

nia godnym nieporozumieniem — udzielił swojego dowcipu namietnościom ludu, podobnie jak Rivarol — namietnościom arystokracji. Ale de Rivarol było prawdziwym nazwiskiem świetnego pisarza, a autor „Maksym i myśli”, jak twierdzi sam Roederer — był niewiadomego pochodzenia.

Historia literatury, pisana dotąd ze stanowiska plotki lub bronzownictwa, powinna wreszcie kiedyś wyraźnie oświetlić społeczną rolę pisarzy w współczesnych im epokach. Okaże się wtedy, że wielu z nich, było żywymi ludźmi, czujnymi na hasła swojego wieku. Najbardziej zajmujący jednak będą ci — którzy przygotowując lub biorąc nawet początkowo udział w przewrotach społecznych, nie wytrzymali i h wielkiego napięcia, zrazili się chwilowymi trudnościami, przyjmowali bezwzględności, a czasem nawet okrucieństwa okresu przejściowego za ostateczną inkarnację wzniosłych idei rewolucyjnych i zrażeni tym wycofywali się pośpiesznie z głoszonych przez siebie uprzednio haseł. Tak właśnie stało się z Chamfortem: zraziły go rewolucyjne trudności, a zwłaszcza okres Terroru, który według Micheleta, historyka jak wiemy nienajprzychylniej usposobionego dla tego okresu Rewolucji, pochłonął cztery razy mniej ofiar niż jedna bitwa napoleońska.

Chamfort był w początkach Rewolucji dobrym patriotą czyli dobrym rewolucjonistą. Gdy jednak rzeczywistość okazała się mniej uległa niż język, w którym można było układać formuły rewolucyjne („Wojna pałacom, pokój chatom” — to też slogan Chamforta) i gdy Rewolucja musiała użyć ostrych środków dla likwidacji grożącego jej niebezpieczeństwa, wówczas Chamfort połączył się z umiarkowanymi przeciwko rewolucjonistom, co w danej sytuacji historycznej oznaczało właściwie rezygnację z konsekwentnego przeprowadzenia reform, a co gorsza wydanie kraju na łup interwencji legitymistycznej zagranicy. Chamfort bezpośrednio bierze udział we frondzie przeciwko rewolucji i dostarcza kontrewolucji, podobnie jak niedawno rewolucji w walce z ancien-regime'm, swoich niebezpiecznych epigramów. Zapalny, uczuciowy, Chamfort przejmując się niesłychanie śmiercią Cheniera, Condorceta i Brissota, którzy zginęli, straceni wyrokiem Rewolucji. „Powieszę się!” oświadczył Lauraguais'owi, który malował mu świetną przyszłość rewolucyjnej Francji. Rzecz jasna, że uważamy dziś za rzecz oplakaną stracenie Cheniera, Condorceta, czy innych przedstawicieli nauki i sztuki, których Rewolucja skazywała na szafot często wskutek nieporozumienia, częściej jeszcze wskutek wyolbrzymionego znaczenia, jakie przypisywano opozycyjnym nastrojom tych intelektualistów wobec aktów koniecznej rewolucyjnej obrony porządku demokratycznego, nastrojom, które niestety decydowały o mniejszej przydatności tych ludzi dla sprawy Rewolucji niż ich wiedza czy talent.

Jednak z punktu widzenia historii rewolucyjnej trybunały Francji, otoczonej morzem legitymistycznej Europy, która w każdej chwili gotowa była zalać kraj falami interwencji, tej Francji, której arystokracja spiskowała po wszystkich dworach Europy, miały prawo i obowiązek bronić z tak wielkim trudem osiągniętego porządku demokracji. Podobnie jak wielu innych znakomitych pisarzy, nie rozumiał swojego zadania i swojej roli w ciągu całego wypełnionego przewrotami i wojnami wieku XIX, podobnie jak wielu znakomitych współczesnych nam pisarzy nie rozumiał groźby faszyzmu, podobnie Chamfort nie rozumiał, że okres terroru jest okresem przejściowym, niezbędnym do utrwalenia zdobyczy rewolucyjnych. Zresztą nie tylko Chamfort tego nie rozumiał. Nie rozumeli tego również Żyrodysci.

Zniechęcony do sprawy rewolucji, Chamfort nie ukrywa tej niechęci. Zostaje oskarżony przez jednego ze swoich współpracowników. Osadzony wraz z kilkoma innymi kontrrewolucjonistami w Madelonnetes, zostaje po krótkim czasie zwolniony dzięki usilnym staraniom przyjaciół. Mimo to pozostaje pod nadzorem. Wskutek raportu nadzorców, Chamfort zostaje ponownie przeniesiony do więzienia. Wyczerpany nerwowo i fizycznie, zda-

je sobie sprawę, iż nie będzie w stanie wytrzymać powtórnego pobytu w celi. Usiłuje popełnić samobójstwo, ale mu się to nie udaje. Nadbiegają zaalarmowane strażę, przybywa lekarz. Chamfort odzyskuje przytomność i zamiast odpowiedzi na pytania, jakie mu zadają w sprawie usiłowa-

nego samobójstwa, dyktuje list, który tłumaczy tu według tekstu w przedmowie de Lescure'a do dzieł wybranych: „Ja, Sebastian-Roch-Nicolas Chamfort oświadczam, że chciałem umrzeć raczej jako człowiek wolny niż pozwolić się odprowadzić jak niewolnik do więzienia: oświadczam, iż

jeśli ktokolwiek zechce gwałtem wrzucić mnie do więzienia w tym stanie, w jakim jestem, mam jeszcze dość siły, aby dokończyć to, co rozpocząłem. Jestem człowiekiem wolnym; nikt nigdy nie zmusi mnie, hym żywy powrócił do więzienia.”

Tak się w zwierciadle subiektywnego tragicznego przeżycia załamuje obiektywna sytuacja pisarza, którą z perspektywy wiedzy możemy określić jako sprzeczną z rewolucją i rewolucyjnym społeczeństwem, a nie jako wyłącznie obronę wolności osobistej.

W przedmowie „Ginguene'a, przyjaciela i wydawcy Chamforta, do dzieł autora „Maksym”, z roku 1795 znajdujemy obszernie i wyczerpujące informacje o usiłowanym samobójstwie i o śmierci Chamforta. Jakkolwiek tendencyjne, informacje te odpowiadają w wielu szczegółach smutnej prawdzie historycznej.

Chamfort uwolniony od winy i kary porzucił swoje dawne mieszkanie w Bibliotece i zamieszkał przy jednej ze skromnych ulic Paryża. Widywał tu jeszcze swoich przyjaciół i snuł rozmaite projekty literackie. Zmarł, wyczerpany przejściami moralnymi i fizycznymi, 13 kwietnia 1794 roku, mając pięćdziesiąt trzy lata. Oto krótki zarys żywota tego świetnego pisarza, którego znamy w Polsce z dwóch zaledwie przekładów. „Maksymy i rozważania moralne” tłumaczone były przez Boya, to samo dzieło wydane było poprzednio w innym przekładzie, w bibliotece Sympozjonu we Lwowie w latach przed pierwszą wojną światową.

Sposób wypowiedzania rzeczy ważnych w formie lekkiej właściwy jest wyłącznie niemał literaturze francuskiej, być może jedynej, która po antyku odziedziczyła ten wielki dar moralnego dowcipu. Tam, gdzie inne narody szczytą się grubymi tomami rozpraw specjalnych, Francuzi podsuwają nam jedno zwięzłe zdanie. Chamfort należy do tej wielkiej rodziny moralistów francuskich: „La Rochefaucauld, Vauvenargues, Pascal zaoszczędzili nam — pisze Roederer, broniąc zwięzłości stylu Chamforta — ogromną ilość komunałów, których nie mogli by nie użyć, gdyby chcieli wszystkie swoje idee związać w jeden system. Cóż robiono zazwyczaj z długimi dziełami moralistów? Wydobywano z nich, pięćdziesiąt myśli i zapominano resztę. Czy nie lepiej więc, jeśli autor sam podaje gotowy wyciąg? Zresztą, jak twierdzi Seneka, moralność działa skuteczniej i jest bardziej żywa, gdy wyrażamy ją w myślach oddzielnych. — „Te myśli — dorzuca Diderot, biograf Seneki. — są podobne do spiżowych gwoździ, które wbijają się w nasze dusze i których nie stamtąd wyrwać nie jest w stanie”.

Wszystkie dzieła Chamforta, które przyniosły mu sławę moralisty i ocaliły jego pamięć w sposób bardziej trwały niż wieńce Akademii za pseudoklasyckie traktaty wierszem, zostały wydane dopiero po jego śmierci. Zawarta w nich krytyka dawnych form i instytucji społecznych po linii rozsądku i postępu każe nam, pomimo wyroków rewolucyjnego trybunału i odwrócenia się Chamforta od czynów późniejszego okresu Rewolucji, wierzyć, że jego działalność pisarską, torowała drogę lepszemu porządkowi społecznemu, któremu Rewolucja dała podwaliny. Wbrew sobie, być może i wbrew opiniiom jemu współczesnych, Chamfort odczytywany dziś na nowo jest pisarzem rewolucyjnym. Jak wszyscy wielcy moralisci, jak wszyscy wielcy pisarze. Rewolucyjnym nie tylko dlatego, że treścią swoich myśli jedna nas bezpośrednio dla sprawy społecznego przewrotu. Książki pisarzy nie są agitacyjnymi plakatami i nie na tym polega ich rola. Chamfort wiedział o tym, gdy układał slogany dla Sieyesa. Książki wielkich pisarzy — a wśród nich i zebrane po jego śmierci myśli Chamforta — o społeczeństwie i stosunkach pomiędzy ludźmi są rewolucyjne wtedy, gdy oświetlają nam przeszłość zgodnie z jej treścią historyczną i wskazują przyszłość zgodnie z sensem, jaki wynika z lekcji przeszłości. Dlatego godzina spędzona nad książką Chamforta może okazać się pożyteczna, zwłaszcza dla tych, którzy chętniej ufają dawnym doświadczeniom.

Paweł Hertz

CHAMFORT

Z „Małych dialogów filozoficznych”

tłum. Paweł Hertz

DIALOG VI

Kucharz: Nie mogłem kupić tego łososia. Doktor Sorbony: Dlaczego?

Kucharz: Targował go pewien radca.

Doktor Sorbony: Masz tu sto dukatów i kup łososia razem z radcą.

DIALOG VII

A: Pan jest wtajemniczony w intrygi naszych ministrów.

B: Dlatego, że wśród nich przebywałem.

A: Mam nadzieję, że potrafił pan z tego skorzystać?

B: Wcale nie... To są gracze, którzy pokazywali mi swoje karty i nawet w mojej obecności zaglądali do talii, ale nie podzielili się ze mną zyskiem z wygranej.

DIALOG IX

A: On stara się ciebie upokorzyć.

B: Ten, kto może być zaszczycony tylko przez siebie samego, nie może być upokorzony przez nikogo.

DIALOG XII

A: Ten urząd jest dostojny.

B: Chce pan powiedzieć: zyskowny.

A: Dostojny czy zyskowny, to jedno i to samo.

DIALOG XVI

A: Umyślnie wyrządziłem mu krzywdę.

B: Ależ on panu nigdy nie wyrządził nic złego.

A: Ktoś musi zacząć.

DIALOG XXV

A: Nie, panie! Pan nie ma prawa być pogrzebany w tej kaplicy.

B: Mam prawo: ta kaplica była wybudowana przez moich przodków.

A: Tak, ale potem została zawarta pewna umowa, według której po nieboszczyku pańskim ojcu, nastąpiła moja kolej.

A: Nie, nigdy się na to nie zgodzę! Mam prawo tu być pochowany! Pochowany natychmiast!

DIALOG LVII

o człowieku, który pokłócił się ze swoim dawnym przyjacielem,

A: Pan de L...

B: Nie znam go.

A: Co też pan mówi? Byłem pewien, że się dobrze znacie.

B: Zdawało mi się, że go znam.

DIALOG LX

A: Ma pan zbyt złą opinię o ludziach: przecież dzieje się również wiele dobrego.

B: Diabeł nie może być wszędzie.

DIALOG XLVII

o człowieku, który pokłócił się ze swoim dawnym przyjacielem,

A: W tej operze jest dziewięćdziesiąt trupów.

B: Jakto?

C: Ależ tak! Wszystkie córki Danaosa, prócz Hypermestry i wszyscy synowie Egiptusa, oprócz Lynceusa.

D: Rzeczywiście, razem to dziewięćdziesiąt trupów.

E: (lekarz z zawodu): To sporo! ale wreszcie tyle bywa epidemii...

F: (ksiądz): Niech mi pan powie, w jakiej parafii wybuchła ta epidemia. To by dało ładny dochód proboszczowi!

DIALOG XL

A: Niechże pan odwróci głowę, to pan de L...

B: Niech się pan nie lęka, pan de L jest krótkowidzem.

A: Ach, jak się cieszę! Jestem dalekowi-
dzem i zaręczam panu, że się nigdy nie spotkamy.

DIALOG XLIX

o człowieku, który pokłócił się ze swoim dawnym przyjacielem,

Nuncjusz: Cóż więc mówią o mnie w towarzystwie?

Sekretarz: Oskarżają pana, że otruił pan pewnego krewnego po to, by otrzymać po nim spadek.

Nuncjusz: Kazałem go otruć, ale z innego powodu. Co mówią jeszcze?

Sekretarz: Że zamordował pan signora... dlatego, że pana zdradził.

Nuncjusz: Nic podobnego: powierzyłem jej pewien sekret i lękałem się, że go wyjawia. Co jeszcze?

Sekretarz: Że oddał pan * * * jednemu z naszych paziów...

Nuncjusz: Ależ przeciwnie: to on mi ją oddał. Czy to już wszystko?

Sekretarz: Oskarżają pana jeszcze, że udaje pan pięknoducha i że nie jest pan wcale autorem pańskiego ostatniego sonetu.

Nuncjusz: Cazzo! Lotrze! Wyjdź stąd natychmiast.

DIALOG LI

A: Pan mi powiedział, że to jest przyzwoity człowiek.

B: Nie, powiedziałem panu, że to jest dość przyzwoity człowiek.

DIALOG LII

A: Oskarżył mnie pan o nieuczciwość?

B: To nieprawda. Zresztą, czy wyrządziłem panu jakąś krzywdę? Wiemy przecież dobrze, że nikogo jeszcze nie powieszono za to, że jest nieuczciwy.

DIALOG LIV

Dovincourt: Powiem mu to prosto w oczy; powiem mu: Panie...

Aramont: Jeśli mu powiesz: Panie, rozmowa będzie skończona, gdyż on nie lubi, by zwracano się do niego inaczej niż: Wielmożny Panie.

DIALOG LV

o człowieku, który pokłócił się ze swoim dawnym przyjacielem.

Pan: Lotrze, od chwili gdy twoja żona umarła zauważyłem, że upijasz się codziennie. Dawniej nie upijałeś się częściej niż dwa lub trzy razy w tygodniu. Jutro musisz się powtórnie ożenić.

Lokaj: Ach! Panie, niechże mi pan zostawi kilka dni na żalobę!

DIALOG XXXVII

Pani de: Któż to idzie nam naprzeciw?

Pani de C: To pani de Ber...

Pani de: Czy pani ją zna?

Pani de C: Jakto? Więc pani sobie nie przypomina, żeśmy wczoraj powiedziały o niej tyle złego?

DIALOG XLI

o człowieku bez charakteru

Dorant: On bardzo lubi pana de B...

Filint: Skąd on o tym wie? Kto mu to powiedział?

DIALOG XLIII

o królu pruskim i o d'Arget

Król: No, d'Arget rozwesel mnie: opowiedz mi o etykietce króla Francji. Zaczniemy od rannego wstawania.

(D'Arget wylicza szczegółowo wszystkie czynności; wymienienia urzędników, lokajów, ich funkcje etc.).

Król: (pękając ze śmiechu) Ach! Wielki Boże! Gdybym był królem Francji, mianowałbym innego króla, żeby to wszystko robił zamiast mnie.

DIALOG XLV

o człowieku, który pokłócił się ze swoim dawnym przyjacielem.

Pan de L...: Ach, moja droga przyjaciółko, jesteśmy zgubieni: twój mąż wie o wszystkim.

Pani de B...: Jakto? Czy może znalazł jakiś list?

Pan de L...: Nie.

Pani de B...: Czyjaś niedyskrecja? Złośliwość któregoś z naszych przyjaciół?

Pan de L...: Nie.

Pani de B...: No, więc cóż takiego?

Pan de L...: Twój mąż zwrócił się do mnie dziś rano, abym mu pożyczyl pięćdziesiąt dukatów.

Pani de B...: Pożyczył mu?

Pan de L...: Natychmiast.

Pani de B...: To świetnie! Nie mamy się czego bać: mój mąż już nie wie o niczym.

Przekład Pawła Hertza

Opracował WITOLD ŁUKASZEWICZ

DZIENNIK ARYSTOKRATKI*)

Marchwacz, dnia 3 sierpnia 1922 roku.

Wizyta przełożonej Ledóchowskiej, która zakłada klasztor Urszulanek w Sieradzu (Szkoła katechetek). Mój mąż dał jej 80 tysięcy marek. Chłopi z Marchwacza i Murowańca przybyli do meza z prośbą, aby im wystawił dokument z oświadczeniem, że chłopom, którzy uczęszczają do kościoła w Marchwacu lub z Murowańca udają się do Raj-ska, zezwala zawsze na korzystanie ze ścieżki, przechodzącej przez pola dworskie. Obecny właściciel zabrania im tego. Mój mąż odmówił.

Marchwacz, dnia 8 sierpnia 1922 roku.

List od pani Lossow z 7-go sierpnia. Jak Józio poradził sobie ze strajkiem:

„W Gryżynie strajkowano zupełnie przez dwa i pół dnia. W piątek 4-go sierpnia po południu znaleźli się ochotnicy do pracy: Zośka i Wojtek, za ich przewodem inni domownicy, w sobotę coraz więcej, nauczyciel i ksiądz proboszcz wyszedł na pole, by udzielić poparcia moralnego. Gdy z rana raportowano, że bandy nadciągają, wsiadł Józio na konia z rewolwerem, dwie strzelby i naboje wziął na bryczkę, przejechał przez wieś, zagroził wyrzuceniem pacychmiastowym z młószkami wszystkich co się od południa nie stawia i — stawili się wszyscy. Pracowali równieź w niedzielę za zezwoleniem proboszcza z własnej woli. Jedyny majątek w powiecie, w którym strajk został zlikwidowany.”

Czytaliśmy w „Gazecie Warszawskiej” „przemówienie Piłsudskiego, wygłoszone w Krakowie 5-go sierpnia na wieczornym legionowej. Nazwał to obłudnie „Spowiedzią”, a jest to od początku do końca jeden hymn pochwalny na cześć własnej osoby, dobrze nafašerowany kłamstwami. Ludzie bezkrytyczni wyczytawszy tę mowę, wyobrażają sobie, że ze wszystko zawdzięczamy Piłsudskiemu, a więc: utworzenie legionów (gdy tymczasem stworzył je N.K.N.), wyparcie Niemców w r. 1918 (może z Poznańskiego), obronę Warszawy w roku 1920, (gdy chciał ją oddać bolszewikom), do czego nie dopuścił Haller, Weygand, Henrys i cały zdrowy państwowy ogół

polski: szlachta i inteligencja, spiesząc hurmem na ochotnika, Ks. Skorupka itd. O Radzie Stanu pisze same kłamstwa, a nie wspomina jak to prosił, aby Beseler zrobił go generałem, fakty przekreśla i przeinacza. O rewolucji, którą przygotował w maju 1917 roku, a której mój mąż łeb skreślił, mówi, że najpierw „wahał się, czyby nie zrobić skandalu z bronią w ręku.” Potem się niby odmyślił. Tak to można kłamać, korzystając z nieswia-

Strona z pamiętnika Zofii Niemojowskiej

Mercredi 3.T.1923
Mon mari a fait une chose
que je n'approuve pas du tout. J'ai
tâché de l'en dissuader mais cette
fois il ne s'est pas laissé convaincre.
Il a dit à l'institutrice, Mme
Lempicka qu'elle ne doit plus ad-
mettre à l'école désormais (à partir
du 3 janvier) les enfants des gens
qui ne travaillent pas cher nous.
C'est vrai que nous n'avons au-
cun devoir vis-à-vis de ces gens
et il y n'a pas de bonne raison
pour qu'ils profitent de l'ensei-
gnement gratuit dans notre

było za dużo ludzi. Karta od T. Morawskich (ona Julcia Lubomirska z domu)... Mussolini niech żyje!

Marchwacz, dnia 21 listopada 1922 roku.

„Wszyscy nasi ludzie poszli do kościoła (dzień misyjny — misja Redemptorystów). Gościński utrzymuje, że to jest gorsze od strajku, nie ma ludzi do oprzątkowania inwentarza...”

Marchwacz, dnia 10 grudnia 1922 roku.

Czułam się dobrze. Wacul opiekował się mną. Zagrał mi swą barcarollę w moim poetyckim ujęciu: „Toną dziś łodzie rybackie”. Smutna wiadomość: prezydentem Rzeczypospolitej został obrany Narutowicz, socjal, mason i przyjaciel żydów, (zwłaszcza Askenazego), drugi Piłsudski. Młodzież akademicka demonstruje przeciwko takiemu wyborowi, manifestują także przeciwko Narutowiczowi robotnicy. Osiągnął większość dzięki Żydom, Niemcom i Ukraińcom. Katastrofa! Mój mąż jest dosyć optymistyczny.

Marchwacz, dnia 16 grudnia 1922 roku.

Zamach i śmierć Narutowicza. Wydarzenie godne pożalowania, lecz charakterystyczne, stwierdzające, że naród nasz ma dosyć opieki żydowskiej, socjalistycznej i masońskiej. Morderca Eligiusz Niewiadomski, człowiek odważny, nie ratował się ucieczką, lecz czekał aż go zaaresztują. Chociaż ja nie aprobuję tego, co uczynił, jednakże budzi on u mnie szacunek. Narutowicz nie zasłużył na śmierć. Nie miał jeszcze możności zrobić wiele złego, (jedynie kilka głupstw na stanowisku ministra spraw zagranicznych), ale był masonem, socjalistą i przyjacielem żydów (Askenazego), a nasza Republika Polska nie chce mieć podobnego prezydenta.

Antysemityzm organizuje się. My nie będziemy kupowali mięsa u rzeźnika żyda.

Marchwacz, dnia 19 grudnia 1922 roku.

W całym kraju oburzenie na żydów i akcja antysemitcka. Pewien pan L. przybył do mnie z propozycją zakupu ryb, które był dotychczas zmuszony sprzedawać żydom. Naród się ocenił i może skronictwa narodowe się skonsolidują. Sursum corda!

Wacul przystosował swą zachwycającą barcarollę do moich słów:

„Toną dziś łodzie rybackie...”

Marchwacz, dnia 20 grudnia 1922 roku.

Wojciechowski, socjal, wybrany prezydent. Endecja nie chciała dopuścić generała Sikorskiego i przyczyniła się do triumfu socjalistów.

Marchwacz, dnia 30 grudnia 1922 roku.

Bryzka (służąca) prosi mnie o małe prezenty — dałam jej 6 i pół funta (wartość 1 kg. — 400 marek)... Zajęce polujące... — 55 zajęcy, 1 królik i 1 krogulec. — 48 naganaczy (1000 marek każdy)... 1 kg. kiełbasy kosztuje 3200 marek, za jednego zajęcia płać w Kaliszu 13.000 marek.

Marchwacz, dnia 31 grudnia 1922 roku.

Wrócił Wacul o pierwszej w nocy i przeczytał mi zeznania fanatycznego, lecz bohater-skiego, Eligiusza Niewiadomskiego. Jest to gęrcy Polak, patriota, zdający sobie sprawę ze strasznego niebezpieczeństwa i nieszczęścia, w jakie socjalizm wciąga Polskę.

Marchwacz, dnia 2 stycznia 1923 roku.

Dopilnowałam, aby mój mąż posłał Jezuitom zajęce (posłał 5, jeden zajęcy wystarczy 10 osobom)... Zajęce, które mąż podarował Jezuitom kosztują 13.500 marek sztuka — razem 67.500 marek. (Podziękowanie ojca Miszkiewicz, rektora Jezuitów było dosyć chłodne, z powodu wartości podarunku)...

Marchwacz, dnia 3 stycznia 1923 roku.

Mój mąż zrobił pewien krok, którego nie mogę uznać. Próbowałam go namówić, aby się cofnął, lecz tym razem nie dał się przekonać. Wydał on mianowicie polecenie nauczycielce pani Lempickiej, aby na przyszłość nie pozwoliła więcej uczęszczać do naszej szkoły (począwszy od dnia 3-go stycznia) dzieciom tych ludzi, którzy u nas nie pracują. To jest prawda, że my nie mamy żadnych obowiązków wobec tych ludzi i nie ma właściwej racji, aby dzieci ich korzystały darmo z nauki w naszej szkole (tacy Przecięcy, Kowalscy i Saganowscy, zarazieni socjalizmem, wygadyują na szlachtę i księży i nie chcą uregulować serwitutów, pragnąc zostać tutaj, aby móc lepiej okradać mego męża)... jednakże ja byłam zwolenniczką, aby przyznać tę łaskę bezpłatnego nauczania dla tych ludzi, a to w tym celu, by móc wywierać dobry wpływ na ich dzieci i wreszcie, by pokazać tym chłopakom dzielnym, że szlachta nie jest tak egoistyczna i tak interesowana jak oni. Chciałabym, aby czuli się zobowiązani do wdzięczności i wobec nas za to. W ogólności oni uważają bogatych za dobrych tylko dlatego, że można ich okradać. Wreszcie boję się, aby oni nie zniechęcili mojego męża. Jestem głęboko zasmucona z powodu tego zakazu. Jednakże mogą oni posyłać swe dzieci do innych szkół: do Rajska, do Krowicy i t. d.

Malowałam przez kilka godzin cyklameny z natury. Kazałam zakupić w Kaliszu dla naszej czytelnicy książkę: „Grabarze Rosji”. Mowa Eligiusza Niewiadomskiego, podana w „Dzienniku Poznańskim” w całej rozciągłości... „Kurier Warszawski”, bożeliwy jak zwykle, wszystko skręcił, żeby się nie naraził! Wstrętna tchórzliwość!

*) Patrz początek w poprzednim numerze „Kuznicy”. Fragmenty Dziennika Zofii Niemojowskiej, który ukazał się nakładem Spółdz. Wyd. „Książka.”

KAZIMIERZ BRANDYS

BUTY LITERACKIE

W poczytnym piśmie literackim ukazał się niedawno duży artykuł p. t. „Czy literat musi być chudy?” Polska jest zapewne jedynym krajem na świecie, w którym tusza pisarza jest zagadnieniem problematycznym. Przeczytałem ten artykuł ze wstydem, chociaż autor pisał w nim rzeczy rozsądne. Ze wstydem — za tych wszystkich, którzy z szeptów, napomknien, komeraży stworzyli atmosferę. Atmosferę groteskową. Literat polski musi w artykule zrzucić z ramion odium zarobku za swą pracę! Tłumaczyć czytelnikom, że nędza nie jest koniecznym warunkiem twórczości artystycznej. Baudelaire był wielkim poetą i „chodził bez butów”. Pan X. twierdzi, że Baudelaire był wielkim poetą, ponieważ „chodził bez butów”. Gdyby pan X. miał rację, literatura polska zaczęłaby od stuleci wszystko, co zostało napisane na świecie. Mielibyśmy na pewno większy procent chudych literatów niż Francja czy Anglia, nie wiem, ile par butów miała Deotyma a ile Byron, lecz nie sądzę, aby nadmiar obuwia nie pozwolił poetce osiągnąć szczytów natchnienia. Figura logiczna p. X. da się przetłumaczyć na język prosty: Pisarz demokracji ludowej nie powinien być w lepszym położeniu, niż jego poprzednik w okresie wyzysku kapitalistycznego. Verlaine żył w nędzy, zdany na łaskę burżuazyjnych salonów, pozbawiony dochodów, opieki społeczeństwa, wszystkiego, co by mogło zapewnić swobodę jego twórczości. Musiał okupić ją głodem, chorobą w przytulku, upadkiem moralnym. Pan X. wyciąga więc wnioski, że nędza sprzyja natchnieniu i radzi wydawcom zawieranie nowych umów, ograniczających zarobki pisarzy. Przypomina mi w tym angielskiego przemysłowca, który zachwalał osiemnastodzinny dzień pracy dla dzieci, dowodząc, że praca sprzyja czystości duszy i zapewnienia zbawienie.

Z pięciusetkilkudziesięciu członków Związku Zawodowego Literatów Polskich, zaledwie kilkudziesięciu może dziś żyć i utrzymać rodzinę z honorariów autorskich. Ich dochody nie sięgają zarobków właściciela sklepu w śródmieściu Warszawy, Łodzi czy Krakowa. Są mniejsze niż dochody wziętego krawca czy szewca

z Piotrkowskiej, Marszałkowskiej lub Floriańskiej. Modny dentysta, lekarz z praktyką zarabiają w ciągu miesiąca tyle, ile pisarzowi przynosi powieść, nad którą pracuje dwa lata. Nie mówię o poetach i krytykach: pierwszy lepszy właściciel perfumerii mógłby ze swego rocznego budżetu łatwo zakupić całą wartościową twórczość poetycką i krytyczną, jaką wydały spółdzielnie wydawnicze w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy.

W dwóch latach powojennych pisarz sprzedał wydawcy wszystko, co napisał w ciągu lat sześciu. Nieraz na przestrzeni miesiąca ukazywały się dwie książki jednego autora — cztery lata wojennej nędzy. W tych wypadkach musiała nastąpić kumulacja dochodów; i tu zapewne bierze początek legenda o dużych zarobkach. Trzeba jednak pamiętać, że w ciągu tych dwóch lat literat nie mógł się poświęcić długofalowej pracy; nie wiele powieści czy tomów krytycznych powstało w tym czasie. Powieściopisarz zamienił się na ten czas w dziennikarza, drukował artykuły o Ziemiach Odzyskanych, reformie rolnej, węglu, transporcie, emigracji, zasiewach i wyborach. Nie będzie za to zbierał złotych jabłek z drzewa „Czytelnika” czy „Wiedzy” — ani w tym, ani w następnym roku. Pierwsze powieści powojenne powstają dopiero dziś, po długiej przerwie zapelnionej publicystyką społeczno-polityczną, kiedy to wykwiłni poeci pisali felietony o łóżykach kulkowych w hutach śląskich, aby spełnić swój obowiązek wobec demokracji. Ale p. X. nawołuje wydawców do zniesienia honorariów autorskich za drugie wydanie książki. Drugie wydanie jest jedyną szansą spokojnej pracy pisarza nad następną książką: dwóch lat lektury, studiów, notatek, pisania. Te szanse chce mu się odebrać. Dlaczego? Bo Verlaine sypiał pod mostem.

Na zachodzie i wschodzie Europy, na obu półkulach — pisarz jest dumą narodu. Polska ma takie same powody do zadowolenia ze swoich pisarzy, jak ZSRR, Francja, Anglia czy Czechosłowacja. Czas więc, aby przyjaciele wydawców przestali prowadzić szeptaną kampanię przeciw polskiemu pisarzowi.

Kazimierz Brandys.

Marchwacz, dnia 5 stycznia 1923 roku.

Malutki mój drogi piesek, wynmknął mi się wczesnym rankiem i zniknął. Niewątpliwie pies go zaślusł. (Co za nieszczęście — co za zmartwienie)!

Marchwacz, dnia 7 stycznia 1923 roku.

Wielka radość. Małeńki (piesek) się znalazł. Antosia przyniosła go z Michałowic. Dałam jej 10.000 marek a chłopcu, który go uratował — 5.000 marek... Kazałam odezwać chłopcom w szkole przemówienie Niewiadomskiego. Wacul notuje swe wspomnienia o Pilsudskim.

Marchwacz, dnia 12 stycznia 1923 roku.

„Mąż wyliczył, ile powinien zapłacić podatku według nowo zaprojektowanej ustawy: 70.000.000 rocznie. Ładna perspektywa. Za-

chwycający jest ten projekt podatku progresywnego, który zmierza do zrujnowania wielkiej własności i w ogóle wszystkich bogatych, których kapitał i praca twórcy i producenta bogactw wzbogacają kraj.

Marchwacz, dnia 13 stycznia 1923 roku.

„Biedny Wacul zatopiony w swych obliczeniach podatkowych. Praca, która go nuży, lecz jest konieczna.

Marchwacz, dnia 14 stycznia 1923 roku.

„Czytelnia ludowa. Odczytałam tam jeden odczyt o bolszewizmie, drugi o Mussolinim. To mi zajęło 5 godzin czasu.

Marchwacz, dnia 30 stycznia 1923 roku.

„Wojciechowski nie ułaskawił Eligiusza Niewiadomskiego. Paskudny socjał Wojcie-

chowski! Gdyby Niewiadomski był komunistą, bolszewikiem, mającym życie kilkunastu ludzi na sumieniu, byłby go zapewne ułaskawił; ułaskawienie jednak idealisty i patriotę wydawało mu się niewłaściwe, mogłoby to się nie podobać socjalistom i gotowi się na niego pogniwać.

Marchwacz, dnia 2 lutego 1923 roku.

„Po południu odwiedził meza pewien pan, który sprzedaje węgiel i kupuje ziemniaki. Mąż sprzedał mu 3.000 kartofli za 20 milionów... Prześliczne pismo przedśmierne Niewiadomskiego „Do wszystkich Polaków”. Marchwacz, dnia 27 lutego 1923 roku.

Starosta Rembowski został wojewodą łódzkim. Człowiek słaby, ulegający lewicy. Głosował za wywłaszczeniem nas z Marchwacza.

Tyle fragmentów autentycznych, bez próby najmniejszej ich zmiany z naszej strony, bez interwencji spacenienia myśli autorki „Dziennika”. Przytaczaliśmy wyjątki z „Dziennika”. Zofii Niemcewskiej z lat 1917 — 23. Można by przytoczyć podobnych fragmentów więcej. Każde nasze słowo zostało wysnute i oparte na tym, tak znanym dla środowiska szlacheckiego a dla nas tak cennym rękopiśmie. Z tekstu rękopisu nie nie uległo przeinaczeniu. Prawda najlepiej przekonywa, prawda mówi sama za siebie, prawda nie wymaga propagandy.

STANISŁAW ŚRENIOWSKI

POLSKA — CZECHY^{*)}

Dziesięć wieków sąsiedztwa

D NIA 10 MARCA 1947 ROKU podpisana została w Warszawie przez przedstawicieli Polski i Czechosłowacji umowa o przyjaźni i wzajemnej pomocy między obu państwami. Jest to układ przede wszystkim polityczny. Zapowiedziana została zarazem umowa kulturalna. Ukazanie się na półkach księgarskich w takiej właśnie chwili książki p. t. „Polska — Czechy Dziesięć wieków sąsiedztwa” ma wyraźną wymowę.

I niezależnie od zastrzeżeń, jakie ona budzi, należy powitać tę książkę z najwyższym uznaniem. Jest to pierwsza praca u obu narodów, która próbuje zawrzeć całościowy obraz stosunków dziejowych między obu sąsiadującymi z sobą państwami. A zadanie to równie trudne jak pilne i niezbędne. Historiografia obu narodów zajmowała się tylko fragmentami tego stosunku, a niewiele w ogóle istnieje studiów poświęconych specjalnie tej sprawie. Dotykano jej częściej na marginesie i przy okazji innych zagadnień.

Książka niniejsza w głównym swym zrebie powstała w latach okupacji niemieckiej. Dzieje polityczne i ustrojowe do 1620 r. opracował prof. Zygmunt Wojciechowski, dzieje polityczne po 1620 r. prof. Janusz Pajewski, dzieje związków kulturalnych na przestrzeni tysiąclecia prof. Tadeusz Lehr-Spławiński. Z tego zachowały się tylko bruliony części książki, napisanych przez Wojciechowskiego i Lehr-Spławińskiego, dzieje po 1620 r. napisał dla obecnego wydania prof. Kazimierz Piwarski.

Ta historia książki jest nie tylko przyczynkiem do dziejów naszej pracy naukowej w czasie ostatniej wojny, ale określa też warunki polityczne i ideowe, w jakich powstała. Wydarzenia międzynarodowe w latach 1937-1939 zmusiły do rewizji poglądów na sprawę stosunków polsko-czechosłowackich przede wszystkim polityków. Wyrazem tego było zawarcie układu polsko-czechosłowackiego przez oba rządy emigracyjne już w pierwszych latach wojny. Za tym porozumieniem politycznym powinno było pójść oczywiście i porozumienie kulturalne, w czasie trwającej wojny możliwe było rozpoczęcie przygotowań do współpracy, w czym przedstawienie dziejów wzajemnych stosunków mogło odegrać bardzo ważną rolę.

Jak nas informuje redaktor obecnego wydawnictwa, książka była pomyślana jako odpowiednik do książki „Polska — Niemcy; dziesięć wieków sąsiedztwa” pisma prof. Z. Wojciechowskiego, ogłoszonej w czasie wojny konspiracyjnie i wydanej ponownie po wojnie. A więc dziesięć wieków zmagania: Polska — Niemcy i dziesięć wieków sąsiedztwa: Polska — Czechy. Przeciwwstawienie wyraźne. Oczywiście wolno mieć na myśli tylko (lub przede wszystkim) przeciwstawienie postaw myślowych autorów opłacowania, przeciwności koncepcji dziejowej stosunków między sąsiadującymi państwami; przebieg samych dziejów wyznaczony był bowiem w obu wypadkach faktem sąsiedztwa, które z reguły daje i okresy zmagania i okresy współpracy. Idzie więc o to pod jakim kątem rozpatrywane być mają dzieje stosunków, pod jakim ideałem dobrego sąsiedztwa czy wojny. W obu wypadkach sytuacja uchylała dyskusję: w stosunku Polska — Niemcy — cała nasza narodowa mobilizacja odbywała się pod hasłem wojny; w stosunku Polska — Czechy szło o przetrwanie nie tylko wzajemnej obcości i nieznajomości, ale także niechęci, szło o próbę zbliżenia, a więc o postawę życzliwą, o wydobycie momentów spójni przeciwko pamiętliwym uczuciom nieprzyjaźni, o wyrozumienie dla akcji spornych, o obiektywizm w ocenie dziejowych stosunków obu narodów.

Życzliwość zasadnicza była zapewne podłożem pomysłu redakcyjnego i pracy wszystkich autorów omawianej książki. Mimo to uprzedzenia narodowe, stronnictwo narodowe nie zostały całkowicie wyrugowane z kart tej książki. Nie idzie o preparowanie historii na użytek dzisiejszej koniunktury politycznej, ale o wyzyskanie nowej sytuacji i o wyjście jej naprzeciw przez przełamanie tych oporów uczuciowych, które nie poz-

wały dotychczas zająć historiografię naszej w stosunku do spraw czeskich postaw obiektywnych, naukowych, wolnych od emocji, jakie bardzo zniekształcających obraz historyczny.

Ciekawe jest, jak inaczej wygląda postawa wobec Czech każdego z trzech współautorów tej książki. Historyk kultury, a przede wszystkim lingwista stwierdza skrupulatnie fakty wzajemnych wpływów, oddziaływań cywilizacyjnych, widzi okresy przodowania w kulturze raz jednego, potem drugiego narodu, mówi o tym beznamiętnie, zestawia fakty, które niedwuznacznie dokumentują taki właśnie przebieg, opowiada bez zakłopotania o ogromnym wpływie języka czeskiego na polski przez całe średniowiecze, o tym, że język czeski pełnił rolę języka literacko-dworskiego w Polsce w XVI wieku i t. d.

Jakże inną postawę zajmuje historyk polityczny, zwłaszcza piszący o stosunkach polsko-ceskich w średniowieczu, w XVI i w początkach XVII wieku. Ten sam autor w ustępach poświęconych urządzeniom ustrojowym potrafi określić wpływ drugiego narodu na stosunki polskie równie beznamiętnie, jak to czyni historyk kultury, kreśli dzieje polityczne przechodzą na pozytywę sedziego i oskarżyciela i ma jako narzędzie z reguły polski tylko, a więc jednostronny punkt widzenia, tak bardzo stronnictwo w sprawach stosunków sąsiedzkich. Jest to język naszej historiografii, jest to język historyków politycznych w ogóle. Nie służy on wcale zbliżeniu między narodami, nie może też być uważany za odpowiednik obiektywnych kryteriów historycznych.

Oto kilka przykładów: akcja militarna Chrobrego w Czechach zasłużyła na określenie logiczne, „przez połączenie Czech z Polską budował Chrobry wielki zrab państwa zachodnio — słowiańskiego, podejmował próbe przeciwstawienia się fali niemieckiej przez stworzenie dużego słowiańskiego organizmu politycznego”, „Chrobry chciał sprowadzić Czechy z drogi zależności lennej od Niemiec, chciał u boku Polski przywrócić im suwerenny charakter. Trzeba było wybierać: albo wierność dynastii i dalszą zależność od Niemiec albo poddanie się władzy piastowskiej i uzależnienie od cesarstwa”.

Analogiczna(!) akcja militarna Brzetysława w Polsce to najazd przedstawiający „dziwną mieszankę zwykłej grabieży i idei politycznych”. A przecież grabież stanowiła charakterystyczną cechę i istotny cel ówczesnych akcji wojennych w ogóle i pod tym względem Czesi nie byli z pewnością „gorsi” od Polaków ani od Rusinów czy Litwinów i Jadrwinów. Realizatorem „idei” połączenia Czech z Polską stał się Wacław II i oto „rządy Wacława należy zaliczyć do klasycznych wykończeń stosunków polsko-ceskich”.

Zatrzymajmy się na tym okresie dziejów. Oceny polityki polskiej i czeskiej zaszczytne dla jednej strony, ujemne dla drugiej, włączy się z przeakcentowaniem różnicy stosunku Polski i Czech do Cesarstwa niemieckiego: Polska była rzekomo zawsze (czy prawie zawsze) niezłomna, Czechy, przeciwnie, uległe. „Korona Piastów była symbolem niez-

politycznym, w złych czasach była ożywcza tradycja i nadzieja lepszej przyszłości, korona czeska godziła się z podległością w stosunku do Niemiec. Fundamentem tak pojętej niezależności Piastów była niezależność Kościoła polskiego od Niemiec, ugruntowana polityką Mieszka I i aktem z r. 1000”. Zapomina się o dwóch innych drogach uzależnienia Kościoła w Polsce od Cesarstwa, poprzez Stolicę Apostolską oraz udział kleru i niemieckiego i czeskiego w Kościele polskim. Ale ważniejsza jest sprawa owego wasala i jego przeciwnictwa — suwerenności. Czy dla średniowiecza wolno ujmować tak własnie sprawę? Idee uniwersalistyczne nie były abstrakcją, święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego było jednak czymś innym niż tylko maska imperializmu niemieckiego, civitas christiana stanowiła wyraźną rzeczywistość kulturalną i polityczną, weszła w krag tego świata w formach wówczas obserwowanych nie mieści się w ciasnym pojęciu poddania się wrogiemu sąsiadowi.

Oczywiście chcąc zrozumieć różnicę postaw Polski i Czech wobec Cesarstwa trzeba uwzględnić wiele okoliczności „rzeczowych”, geograficznych i cywilizacyjnych, idea polityczna, za którą jakby się kryły różnice charakteru narodowego — nie nie wyjaśnia. Wypada też sprawdzić owa bohaterska postawa polską: Chrobry walczy z cesarzem, ale i zjawia się na dworze cesarskim i zachowuje się na nim tak, jak właśnie reguły żądały tego od wasala, to samo „powtarza się potem z Krzywosłusym. Chrobry bije się i bije cesarza, ale sprzymierza się z książętami Cesarstwa, podobnie jak on przeciwko cesarzowi występującymi. Czyż nie zachowuje się on jak jeden z potężnych wasali? I moim zdaniem przemawia to na korzyść Chrobrego i Polski i oznacza stopień wejścia młodego państwa w politykę europejską.

Nie wiem natomiast, czy są słuszne podstawy, aby tak krytycznie odnosić się do średniowiecznej polityki czeskiej. Nie wprowadzałbym analogii ze stosunkami współczesnymi gdyby nie to, że w ocenie, której się przeciwstawiam, dopatruję się echa poglądów naszych na sprawę czeską w przeddzień wybuchu ostatniej wojny, w czasie wojny, a u wielu i po wojnie. Bohaterstwo (rozumiane romantycznie) i realna polityka, spotykająca się ze zrozumiałą niechęcią u nieustępliwych. Surowość ocen ma jednakże dwójakie podłoże: może być wyrazem dojrzałości, może być również wyrazem niedojrzałości sądu. Suwerenne państwo polskie uległo w XII wieku rozkładowi politycznemu i rozkład ten trwał dwa blisko stulecia, a w tym samym czasie wasalne Czechy stają się mocarstwem, którego król włada całym zespołem sąsiednich krajów, Austrią, Sycylią, Karyntią, Krainą, patriarchatem akwilejskim (z granicą na Adriatyku), aspiruje do tronu cesarskiego i roi wielkie plany krucjaty i ekspansji w kraje litewskie, a więc po Bałtyk. Syn i wnuk Przemysława Otokara II łączy z koroną czeską koronę polską, zapoczątkowując ponowne zjednoczenie i odnowienie państwa polskiego.

Nie wiem dlaczego Wojciechowski, mówiąc o niewyczerpanym źródle tradycji narodowej (stosunków polsko-ceskich), jakim

leżności od Niemiec, wkładano ją na głowę wówczas, gdy niezależność ta była faktem jest historią, uważa, że rządy Wacława takim źródłem być nie mogą. Jest natomiast wiele innych zdarzeń w historii polsko-czeskiej, które tę rolę mogą według niego spełnić pozytywnie. I wymienia udział Polski w bitwie pod Durnkrut i udział Czechów w wojnach Polski z Krzyżakami. Jestem pewny, że czas już wyjść poza ciasną możliwość zbliżenia między narodami tylko w formie braterstwa krwi na polu chwały.

Sprawa husycka — bodajże najniefortunniej załatwiona jest w tej książce. Już raz wreszcie trzeba spojrzeć na husytyzm nie z opłotków parafii. Husytyzm był wielką sprawą narodu czeskiego i wielką sprawą cywilizacji europejskiej. Husytyzm stanowił epokowe ogąwo kulturalnego i moralnego odrodzenia europejskiego, husytyzm przełamywał strukturę ideologiczną średniowiecza i otwierał horyzonty czasów nowożytnych.

Wiadomo, że husyci ofiarowali koronę czeską Jagiellom, potem Witoldowi, oferta nie została przyjęta. Zgodnie z tonem i argumentacją naszej historiografii załatwia się z tym Wojciechowski bardzo prosto: „Polityka polska — pisał — choć najżywiej(!) sympatyzująca z husytami, musiała być bardzo ostrożna, jeśli chodziło o wchodzenie z nimi w bliższe związki, gdyż równałoby się to zaprzaczeniu całego dorobku uzyskanego w Konstancji (polegającego na wybronienu się z zarzutu o fałszywym chrzcie Jagielly St. S.). Nie było też obojętne, dodaje Wojciechowski, że w Polsce istniało stronnictwo ortodoksyjne — katolickie, sprzeciwiające się związkom z Czechami z przyczyn natury zasadniczej”.

Postawa Polski wobec husyckich Czechów określa jej miejsce w ówczesnym ustroju europejskim, jej przynależność do obozu państw o feudalnej strukturze społecznej, jej solidarność z tym światem, którego reprezentację polityczną piastowało Cesarstwo i z którym rzekomo w stałym sojuszu znajdowały się Czechy.

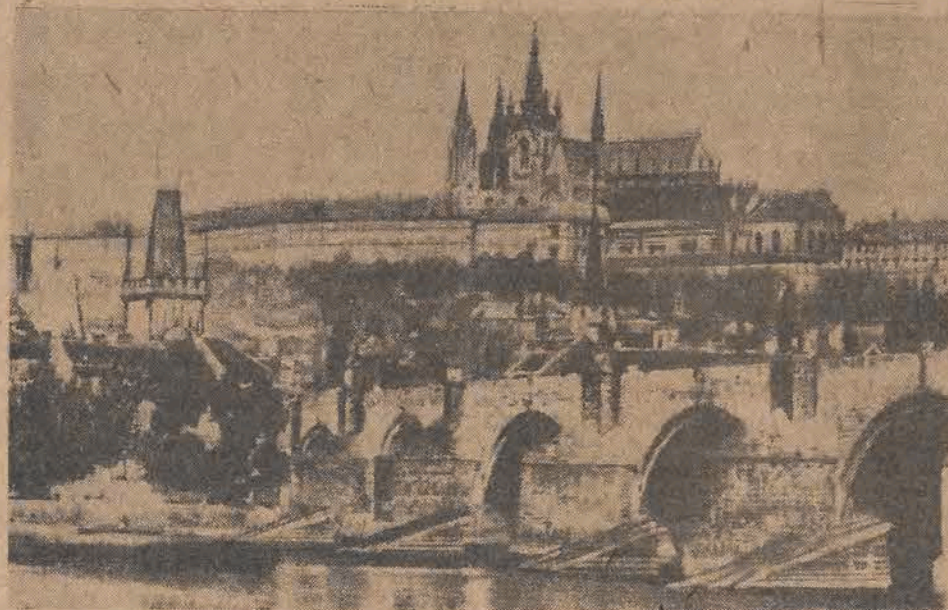
Na ruch husycki odpowiedziała Polska wydaniem edyktu wieluńskiego. Prof. Wojciechowski tak pisze o tym: „Zaangażowanie się w sprawy czeskie zmusiło rząd polski do wydania edyktu wieluńskiego (1424), skierowanego zarówno przeciwko heretykom przybywającym z Czech, jak i mieszkającym w Polsce. Z przyczyn, któreśmy już wzmiankowali, Polska nie mogła narazić się na zarzut sprzyjania herezji husyckiej, tym bardziej, że nie rezygnowała ze związków natury politycznej z Czechami”.

Nie wiem, czy jest celowe usprawiedliwiać nie tolerancję polskiej tego czasu, kiedy „usprawiedliwiała” ją całkowite i zupełnie jasno struktura społeczno-polityczna Polski ówczesnej i kierunek jej drogi dziejowej; rozrost terytorialny i potęga dokonywały się pod hasłem tych sił, które ukształtowały się w Polsce w poprzednich stuleciach, a nie pod hasłem rewolucji.

I znowu sprawa usadowienia się Habsburgów na tronie czeskim. „Dalszy tragiczny zbieg wypadków — pisał o tym Wojciechowski — nastąpił w momencie, gdy przywódca czeskiego stronnictwa narodowego za cenę natury materialnej porzucił kandydaturę bawarską i własnymi głosami wybrał królem czeskim arcyksięcia Ferdynanda Habsburga”. „Elekcja praska stanowiła zwróty moment w dziejach Europy środkowo-wschodniej, gdyż Habsburgowie osadziwszy się w bastionie czeskim mogli teraz łatwiej wyciągnąć ręce po Węgry, a tym samym zainaugurować dwuwiekowy okres ciążenia w tej postaci imperializmu niemieckiego nad Europą”.

Wszystko to można by przyjąć bez sprzeciwu, gdyby nie dalszy ciąg tego ustępu: „Aby zrozumieć całą doniosłość tego, co się stało w Pradze jesienią 1526, należy ówczesną decyzję praską zestawiać z decyzją panów polskich, podjętą półtora wieku przedtem, w r. 1385. Wówczas nie dopuszczając arcyksięcia Wilhelma do tronu polskiego i wiążąc Polskę z Litwą, stworzono w środkowo-wschodniej Europie wielki blok przeciwniemiecki, który pod Granwaldem zadał niemieczynie drugoczący cios i, który wziął pod swe wpływy obszar środkowo-europejski — teraz obszar ten ponownie wchodził pod wpływy niemieckie”.

Wydało mi się, że byłoby bardziej słuszne „zestawić” decyzję praską z 1526 z decyzją polską z 1515 r. w tej samej spra-



Praga. Zamek Hradezany i most Karola na Weltawie.

*) Tadeusz Lehr-Spławiński, Kazimierz Piwarski, Zygmunt Wojciechowski, Polska — Czechy Dziesięć wieków sąsiedztwa. Pod redakcją Zygmunta Wojciechowskiego. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego, Pamiętnik Instytutu Śląskiego, Seria II 7. Katowice — Wrocław 1947 Str. 317.

wie. Czym były układy polsko-cesarskie z tego roku jak nie otwieraniem perspektyw Habsburgom na tron czeski i węgierski, zajmowany dotąd przez Jagiellończyków, na które zostali powołani wyraźnie przeciwko aspiracjom habsburskim. „Decyzja” praska z 1526 stanowiła oczekiwaną konsekwencję wydarzeń z 1515 r. Habsburgowie w 1526 przedstawiali zupełnie inną siłę niż w 1385, w oparciu o prawa przysługujące im z układów wiedeńskich mogli zrealizować to, do czego dążyli konsekwentnie już od dwóch stuleci, kandydatura polska arcyksięcia Wilhelma powstała przypadkowo, nie miała za sobą tradycji, uchwalona została, bo wielkie siły przemawiały za innym rozwiązaniem politycznym w Polsce.

Sprawa niemiecka to centralny problem dziejopisarstwa prof. Wojciechowskiego już przed wojną, wojna całkowicie zeszkolowała jego myślenie historyczne na tym zagadnieniu. Daje to olbrzymie efekty organizacyjno-naukowe, czasem szkodzi jednak konstruktywnej myśli historyografii. Sprawa niemiecka staje się kluczem do wyjaśnienia wszystkich sytuacji dziejowych polskich i niemieckich, ten jest zupełnie źle dobrany. W omawianej tu książce spotykamy się z taką interpretacją polityki jagiellońskiej: dynastia jagiellońska szukała sił społecznych, na których mogłaby się oprzeć przeciwko panom krakowskim wzgl. radzie „koronnej forsującym elekcyjność (ponoć za przykładem Czechów)”. „Rola tego oparcia — pisze Wojciechowski — po czyna od końca rządów Jagielly odgrywać szlachta, organizowana pod hasłem walki z niemiecczym”. I tę myśl, sformułowaną już w monografii o Zygmuncie Starym dalej prowadzi: „Hetman i kanclerz Jan Zamoyski, kontynuator polityki prymasa Łaskiego i królowej Bony, rozbudowę wówczas (po śmierci Zygmunta Augusta) ostatecznie zasadę „wolnej elekcji”, w tym przekonaniu, że jest to najwłaściwszy sposób zamknięcia Habsburgom drogi do polskiego tronu. Imperializm habsbursko-niemiecki zatrzymany został u wrót Polski”. „Niechęć i obawa przed Habsburgami spowodowały, że w Polsce z począt-

klem XVII w. ostatecznie petryfikuje się zaśada tzw. „złotej wolności” jako reakcja przeciw dynastyczno-absolutystycznej polityce Habsburgów. W Polsce od połowy XVI w. utrwała się przekonanie, że ten typ ustroju wolnościowego chroni ją przed zagarnięciem tronu polskiego przez Habsburgów i przed połączeniem z tym zagładą narodową. Wskazuje się na Czechy jako na przykład odstraszący”.

I wreszcie taki ustęp: „Wpływ stosunków czeskich na ustrój polski w wiekach XV—XVII był więc ogromny. W XV w. próba wzmocnienia władzy królewskiej złączyła się z oddziaływaniem husytyzmu na Polskę. W konsekwencji w Polsce wykształcił się ustrój, w którym do przeważnego głosu doszła warstwa szlachecka; Polska utrzymała się w charakterze średniowiecznego państwa stanowego z przeważającą rolą stanu szlacheckiego. Te ostatnie elementy ukształtowały się pod dużym wpływem stosunków węgierskich XVI w., utrzymały się jednak i utrwały w Polsce pod wrażeniem obserwacji poczyniła habsburskich w Czechach i na Węgrzech — przede wszystkim w Czechach. Polska „szlachecka” uważana później za coś tak bardzo różnego od demokratycznych Czech była wytworem współzależności polsko-czeskiej, ukształtowała się w wyniku chęci utrzymania tych form narodowych, które w sąsiednich i współplemiennych Czechach zostały przez Niemców zniszczone. W Polsce „szlacheckiej” znalazła więc swój dalszy ciąg i czeska historia”.

Nie, napewno nie było tak i przyczyny struktury społecznej Polski przedrozbiorowej nie były napewno ideologiczne. Zarzuciliśmy już interpretacje idealistyczne przywileju szlacheckiego, wiemy, że nie był on nagrodą za ofiarę krwi i inne zastępcze uzasadnienia utrudniają w tej samej mierze przedmiotowe spojrzenie na rozwój dziejowy.

W rozdziałach poświęconych stosunkom polsko-czeskim po 1620 r. znajduje czytelnik dzieje kontaktów kulturalnych i myśli politycznej, położone przeważnie według poszczególnych osobistości obu narodów. Mamy tu

więc ze strony czeskiej i Komeńskiego i Jezuitę Balbina, a potem Palackiego, Szafarżka, Kollara, Dobrowskiego i innych. W XIX w. na czoło zagadnień we wzajemnych stosunkach polsko-czeskich wysuwa się postawa wobec idei tzw. słowianofilstwa w jego wielu odmianach. Ta sprawa nakreślona została, mimo tak zdecydowanych różnic w tym względzie między przedstawicielami strony czeskiej a polskiej, z dużym umiarem, jasno i ob szernie. Wskazane zostały warunki polityczne odmienności koncepcji czeskiej i polskiej, o powiedziane fakty zbliżeń i konfliktów na tej płaszczyźnie.

W sumie książka niewątpliwie bardzo pożyteczna, ale należało by sobie życzyć, aby czytelnicy obu krajów otrzymali jaknajbardziej opracowanie całokształtu związków dziejowych obu narodów we wszystkich głównych dziedzinach życia. Fragmentaryczność tej pierwszej ogólnej pracy jest oczywiście całkowicie zrozumiała, ale w następnym etapie powinno już pójść opracowanie czynnika wiążącego w dziejach obu narodów zarówno w zakresie kultury tzw. duchowej wogóle jak i całej kultury materialnej. Zdaje mi się, że należało wtedy dać więcej niż tylko obraz wpływów, kontaktów i zależności, że zadanie, jakie jest do spełnienia i jakie przyświecało autorom omawianej tu książki, zbliżenia między bliskimi dwoma narodami wymaga przedstawienia dziejów obu narodów w możliwie pełnym obrazie a w takim ujęciu „kompozycyjnym”, aby związki rzeczowe między obu narodami ujawniły się jaknajwyraźniej.

Zarazem z książki takiej musi być usunięty tradycyjny ton niechęci i wyższości narodowej wychodzący w innej strukturze społecznej i politycznej niż ta, jakiej ma książka taka dzisiaj służyć. Po doświadczeniu, że dobra wola autorów nie zawsze potrafi przezwyciężyć potęgę sugestii nacjonalnych, należało by, moim zdaniem, przystąpić do opracowania takiego dzieła w zespole składającym się z historyków obu zainteresowanych narodów i sądzić, że w tych warunkach szanse obiektywnego przedstawienia wspólnych spraw nie pomierne by wzrosły.

Stanisław Śreniowski.

PISARZE CZESCY



Jaroslav Vrchlický (1853 — 1912)



Juliusz Zeyer (1841 — 1901)



Karol Čapek (ur. 1890)

HELENA TEIGOWA

Notatki o współczesnej prozie czeskiej

Redakcja „Kuźnicy” uzyskała od znanej tłumaczki czeskiej, p. Heleny Teigowej informacje dotyczące współczesnej prozy czeskiej.

POD KONIEC pierwszej wojny światowej i w latach, które po niej nastąpiły, powieść czeska osiągnęła znaczny stopień rozwoju i dała świadectwo dużej formalnej dojrzałości. Na pierwszy plan wysunęło się przede wszystkim starsze pokolenie pisarzy z K. M. Čapek-Chodem, E. Sokalem, Fr. Štramkiem oraz pisarkami A. M. Filšchową i E. Beneszoną na czele.

Równocześnie zjawia się pokolenie młodych pisarzy, późniejszych nieco z powodu wojny, ale za to całkowicie już dojrzałych w chwili debiutu. W postawie pisarzy tych zaznacza się pewien zwrot od indywidualizmu do ideologii społecznej — oraz tendencja do osiągnięcia epickich form wyrazu.

Do pokolenia, którego pierwsze wielkie sukcesy przypadają na ostatnie lata poprzedniej wojny, należy przede wszystkim Iwan Olbracht, autor głośnej powieści o tematyce, zaczerpniętej z życia żołnierzy tatrzańskich (znany dobrze w naszej literaturze motyw Janosika). Jest to powieść pt. „Złobnik Mikołaj Szuhaj”. Olbracht jest także autorem świetnych nowel o zacięciu humorystycznym. W utworach Olbrachta będącego w zasadzie pisarzem realistycznym, realizm niejednokrotnie przemieszany jest z elementami liryczno-romantycznymi.

Maria Majerowa pisarka o ideologii socjalistycznej w swej powieści „Syrena” odtwarza na przestrzeni czterech pokoleń życie górników z Kladna, dając wyraz szeroko rozumianej problematyce społecznej. W powieści „Przegroda” ukazuje ona obraz przyszłej rewolucji socjalistycznej z wyjątkową umiejętnością nadania poruszanej problematyce akcentu głębokiej wiary i optymizmu.

Pisarką o podobnym nastawieniu społecznym jest bawiąca obecnie w Polsce z wycieczką pisarzy słowackich Maria Pujmanová, znana przez długi czas również z działalności publicystycznej i krytycznej. Jest ona autorką powieści „Ludzie na rozdrożu”, w której odtwarza warunki życia po pierwszej wojnie światowej. Mieszczaństwo, robotnicy, życie stolicy Czechostowacji, całe środowisko czeskiego świata pracy, przedstawione jest w utworze Pujmanowej z wielkim darem obserwacji, autentycznością i nieszablonością. Inny utwór tej samej pisarki p. t. „Przecucie” oparty jest o problematykę ściśle psychologiczną.

Wybitnym przedstawicielem prozy czeskiej dwudziestolecia jest Karol Čapek, początkowo piszący swe utwory razem ze starszym bratem Józefem. Wczesne jego utwory wykazują silny wpływ ekspresjonizmu. Jego powieści z tego okresu są połączeniem utopijnej fantastyki i groteski („Fabryka absolutu”, „Krakatił”). Po latach Čapek wrócił znów do tego rodzaju literackiego w powieści „Salamandry”, która jest typowym wyrazem cechującym ostatnie lata międzywojenne nastrojów katastroficznych. Natomiast słynna

jego trylogia „Hordubal”, „Meteor”, „Zwyczajne życie” — to powieści tradycyjnie psychologiczne. Poza nowelami i powieściami jest K. Čapek autorem świetnych felietonów z podroży dotąd mało znanych za granicą: są to „Listy” z Włoch, Anglii, Hiszpanii i Holandii.

Prawdziwym mistrzem słowa w literaturze czeskiej jest Władysław Wanczura. Wyszłed on również z ekspresjonizmu, choć utwory jego mają charakter inny niż dzieła Čapka. Cechuje je zamilowanie do farsy i groteski, uwielbienie siły i barbarzyństwa. Język jego odznacza się silną tendencją do arcaizacji i pełen jest metafor poetyckich. Wanczura jest autorem kilku powieści, z których wymienić należy przede wszystkim powieść „Marketa Lazarowa” oraz tom mistrzowskich skrótów nowelistycznych p. t. „Łuk królowej Doroty”.

Józef Kopta jest autorem obszernego cyklu powieści p. t. „Trzecia kompania” obrazującego udział czeskiego żołnierza w pierwszej wojnie światowej. Kopta daje tu szereg świetnie naszkicowanych postaci żołnierskich. Pod względem formalnym jednakże ciekawiej prezentują się jego nowele „Wywiadownia Nr 47”, „Adolf czeka na śmierć”, „Marta, Maria, Helena” i inne, oraz świetne opowiadania dla chłopców. W nowelach tych i opowiadaniach Kopta wykazuje wielki kunszt narratorski. Obraz czeskiej wsi malują w swoich utworach regionalistycznych pisarze zgromadzeni pod hasłem „ruralizmu”. W grupie tej wyróżnić należy autorów takich jak Józef Knap i Franciszek Krzelina o zacięciu sielankowo-lirycznym, jak Jan Čep o podejściu religijno-mistycznym i symbolicznym oraz bawiący również jako jeden z gości na obecnej wycieczce pisarzy czeskich w Polsce A. C. Nor — naturalista czerpiący tematy do swych powieści z życia ludu wiejskiego na Śląsku.

U innych pisarzy sprzed drugiej wojny światowej problematyka psychologiczna gości i wypiera całkowicie zagadnienia społeczne. Przedstawicielami czeskiej powieści psychologicznej są Jan Weiss, Miroslaw Novell oraz Egon Hostowsky. Hostowsky, który do literatury czeskiej wprowadził psychologię freudowską i freudowską psychoanalizę, jest, obok Čapka, spośród pisarzy młodego pokolenia największym mistrzem stylu. Utwory takie, jak powieść z życia młodego człowieka „Czarna gromada” lub „Bezpański dom”, wreszcie napisana ostatnio na emigracji, w Ameryce, powieść „Siedem razy w głównej roli”, świadczą o świetnym opanowaniu przezeń formy powieściowej.

Pokrewna Hostowskiemu jest twórczość Włodzimierza Neffa autora psychologicznej powieści „Trzynasty pokój”. Neff bardzo wnikliwie przedstawia tu świat dzieci, rzucony na tło codziennego życia drobnomieszczaństwa. Z tychże motywów powstała zwarta nowela „Maria i ogrodnik”.

Przedstawicielem nadrealizmu w czeskiej prozie jest przede wszystkim K. Konrad. Pokrewny rodzaj reprezentuje również A. Hoffmeister w swoim emigracyjnym dzienniku z czasów okupacji tłumaczonym niedawno i wydanym po polsku p. t. „Turysta mimo woli”.

Prace Polskiego Instytutu Socjologicznego
Studium Problemów Chłopskich i Robotniczych

Tom 2

STANISŁAW ŚRENIOWSKI

DZIEJE CHŁOPÓW W POLSCE

Szkic o ustroju społecznym

Z przedmową

Józefa Chałasińskiego

Stron 156

„Czytelnik” 1947

Ciąg dalszy

KAZIMIERZ BRANDYS

S

A

M

OJCIEC Tola, Ksawery Szarlej, mieszkał w ładnym, ale zaniedbanym domu niedaleko katedry. Tam, w górze ulicy Długiej wiele było pałacików, które wybudowali fabrykanci. Ich okna miały kolorowe witraże, dachy — wieżyczki z blaszanymi szpicami. Niektóre z tych budynków były do parteru wyłożone marmurem, inne nad bramą miały kartusz bez herbu, jeden wieńczyła attyka z płaskorzeźbą, na której Noe wpadał na zwierzęta do arki. Kilka najładniejszych otaczała zieleń drzew i dzieliły od ulicy złocone sztachety. Gdyby ktoś tam zajrzał, zobaczyłby ścieżki wysypane żółtym piaskiem, karzelka z kolorowej gliny na klombie, a czasem fontannę z Merkurym.

Dom Tola odznaczał się czym innym: pierwsze piętro podtrzymywały na plecach kamienne postacie, których Jakubowi było trochę żal, bo na ich twarzach malował się niezmierny wysiłek. Ale Tolo powiedział mu kiedyś, że to jest udane i że dom dałby sobie bez nich doskonale radę.

Jakub zawsze jednak oglądał je z podziwem. Tym razem także nie od razu zadzwonił, ale przystanął z zadartą głową przed jednym z gigantów i zamyślił się przez chwilę: czy nie byłoby pięknie mieć takie bary i pięści? Co powiedziałaby jego matka, gdyby pewnego dnia odwinął rękaw koszuli i pokazał jej kamienne pagóry na ramieniu? Nie potrzebowałby wtedy oślej szczęki, żeby ją obronić przed Filistinami.

Tak myślał, stojąc przed domem Tola. Dzień był bardzo piękny i Jakub trzymał czapkę w ręku. Proszę spojrzeć: przy nieruchomym olbrzymie wydaje się niewielki, a jego pierś nie tak wypukła. Czarne włosy znów sterczą mu nad czołem, bo wyschły na słońcu; jego szyję przy kołnierzu pokrywa miękkie puch. To mały chłopiec, dziecko prawie, ten Jakub Gold.

Drzwi otworzył mu portier w czapce z czerwonym lampasem. Miał zadarty różowy nos i powiedział: — Pan Tolo czeka na pana, jeżeli pan się nazywa pan Jakub Gold. Jeżeli pan jest pan Jakub Gold, to proszę pana na górę schodami. Wszyscy goście już przybyli. Im prędzej, że tak powiem, tym lepiej. — Mówił to powoli i smutno, patrząc trochę powyżej głowy Jakuba. Potem zaczął wstępować po schodach wysłanych spłowiałym pluszem, więc Jakub poszedł za nim.

Na schodach było już słychać muzykę. Tolo przywitał go w progu i portier rzekł nosowo: — Pan Jakub Gold. — Jakub zauważył, że Tolo obrzucił szybkim spojrzeniem jego strój i uniósł ciekawą brew, jakby zdziwiony, a potem powiedział: — No, no... — Jakub zaniepokoił się trochę, co to mogło znaczyć; spostrzegł, że Tolo jest w luźnej marynarce w szarą kratę, rozciętej z tyłu. Ubranie Jakuba nie miało rozcięcia z tyłu, co było zrozumiałe, bo trudno, żeby jego ojciec przewidział przed śmiercią modę na piętnaście lat z góry. A jednak Jakub trochę się tym zmartwił.

W dużym salonie grał patefon, na posadzce pod żyrandolem tańczyło kilka par. Zwinęty dywan leżał pod ścianą. Jakub zobaczył, że jedna z pańienek zaplotła w tańcu obydwie ręce na szyi chłopca, który tańczył bez marynarki i krawata. Inna para kręciła się w kółko objęta w pół, z papierosami w ustach, a na środku tańczył sam szczupły chłopiec w granatowym mundurze kadeta i przysiadł wyrzucając nogę w przód. Jakub zaciekawiał się tym i chciał popatrzeć, jak on to robi, ale Tolo popchnął go lekko i powiedział: — Chodź. Pod ścianą, w fotelu z brązowej skóry siedziała Beata Orlanka z nieznanym chłopcem o małej, bladej twarzy, który nosił marynarkę z pepity. Jakub zamrugał oczami i zaczerwienił się, bo Beata była w tej samej zielonej sukni, co kiedyś w teatrze, gdy Ordonówna śpiewała piosenki. Tolo wziął ją za rękę i powiedział: — Beato, to jest Jakub Gold — Jakub uklonił się, zsuwając obcasy. Poczuli na swojej twarzy jej oczy i stał z opuszczonymi rękami. — Niech pan usiądzie — uśmiechnęła się Beata, a Tolo zachęcił go: — Usiądź Jakubku. — Chłopiec w pepicie przysunął krzesło; Jakub zauważył, że jego marynarkę ma rozcięcie z tyłu. Usiadł na brzegu krzesła i położył na kolanach swoje ciemne pięści. Tolo nachylił się ku niemu i powiedział: — Czuj się jak u siebie, Jakubku — potem ujął rękę Beaty i zaczęli tańczyć; więc Jakub został sam z chłopcem w pepicie.

Ten chłopiec miał małą głowę i włosy jakby przybliżane. Pachniał mocno lawendową wodą, ale Jakubowi zdawało się, że jest mimo to smutny.

— Bokuje się pan? — zapytał Jakub patrząc na jego pięści. Jakub zastanowił się, czy ma prawo zdarzenie z Klemensem Łuskim uznać za boks, i po namyśle odpowiedział: — Tak.

Chłopiec pokiwał głową i ziewnął. Jakub zauważył, że ma twarz podobną do wróbelka i małe podkrążone oczy.

— Musi pan mieć niezłe sierpowe — mruknął chłopiec, a Jakub nie zaprzeczył. — Co do mnie — ciągnął — to wolę skakać o tyczce, chociaż od czasu do czasu także pokazuję się na ringu, ale tyczka, to jednak co innego. Przedwczoraj przeszedłem trzy metry z kawałkiem. Akurat mi się chciało. W tym roku może stanę do mistrzostw. Jak pan myśli, mam stanąć?

Jakub stanowczo był zdania, że należało stanąć do mistrzostw i powiedział mu to. Chłopiec znów ziewnął, potem znudzonym głosem spytał Jakuba, czy podoba mu się Beata. Jakub okrył się pasem i spojrzał w stronę, gdzie tańczyli Beata i Tolo. — Tak — odpowiedział cicho.

Obydwaj patrzyli teraz na Beatę i Tola. Patefon grał powolnego walca, a oni okrążali salon zataczając jednakowe koła, miękko i trochę sennie. Jakub patrzył na nich szeroko otwartymi oczami; widział naprzemian usta Tola przy włosach Beaty, albo jej przymknięte powieki i białą dłoń na jego ramieniu. Chłopiec w pepicie wystukiwał rytm końcem pantofla i powiedział: — Niezły kawałek, co? — Jakubowi mocno biło serce, ale powtórzył: — Tak, wcale niezły. — Kadet, który przestał tańczyć na środku salonu, podskoczył ku nim. — Nasze kawalerskie? — zawołał strzelając palcami. Potem zmrużył oko i napełnił trzy kieliszki. Jakub wstał, przedstawił się, a kadet spojrzał mu w twarz i naraz przestał się uśmiechać. Stali z kieliszkami w ręku; Jakub spostrzegł, że chłopiec w pepicie szepnął coś do kadeta wskazując oczami Tola, na to kadet wzruszył ramionami i podniósł kieliszek mówiąc: — Pańskie zdrowie. — Jakubowi zrobiło się przyjemnie; wypił różowy płyn. Zobaczył, że Tolo uśmiecha się do niego w tańcu, pomyślał sobie: — Tolo, mój przyjaciel. — Kadet nalał znowu, Jakub wypił drugi kieliszek, a chłopiec w pepicie powiedział: — Niezła ciecz. — Jakub zgodził się z tym i potwierdził to głośno, na co kadet znów wzruszył ramionami. W patefonie zmieniła się melodia, pary zaczęły szybko wirować tupiąc mocno nogami, a ktoś krzyknął: — Hej, ha! — Jakub natężył pierś i skrzyżował ramiona, bo spodobał mu się ten taniec. Zobaczył Beatę przegiętą w tył i Tola z ręką wyrzuconą w górę. — Napijmy się, panie Gold — powiedział kadet; Jakub wypił po raz trzeci. Chłopiec w pepicie zapytał, czy Jakub lubi szkocką whisky. Jakub nie wiedział tego dokładnie, ale odrzekł, że stanowczo woli turecką chałwę. Wtedy kadet zaczął się śmiać i zakrzuszył się, a chłopiec w pepicie ziewnął. Jakubowi zrobiło się trochę przykro, ale w tej chwili do salonu wszedł lisy portier z tacą i rzekł poważnie: — Proszę panów kanapki. Jeżeli nie są takie jak panowie lubią, to proszę panów oświadczyć to panu Tolowi. Nie zostałem stworzony, aby robić kanapki, i nie mam tego w naturze, proszę panów. Ale człowiek, że się tak wyrażę, ma swoje słabości, a kiedy wieje wiatr, i z dębu spadają liście. — Kadet poklepał portiera po ramieniu mówiąc: — Za zdrowie pana Kwietnia. — Wtedy Jakub znów wypił i spotkał wzrok Beaty. Nie tańczyła już z Tolem, ale siedziała w fotelu i patrzyła na Jakuba. — Usiądź koło niej — szepnął ktoś Jakubowi do ucha. Jakub otworzył usta; mruknął niewyraźnie jakieś słowa. Potem zmarszczył czoło i zrobił parę kroków. Chciał opowiedzieć Beacie o swojej matce, był pewny, że ona wszystko zrozumie. Usiadł i pochylił się ku niej. Widział jej twarz coraz bliżej, zobaczył cień jej rzęs, wziął ją za rękę. — Moja mama... — powiedział. Ale nie umiał wybrać z tysiąca myśli, które huczały mu w głowie, ani jednej. Powtórzył więc: — Moja mama... — Był bardzo szczęśliwy i trzymał w swych pięściach jej rękę. Patefon znów zaczął grać, Tolo zapalił wielki żyrandol, który wisiał nisko i odbijał się w posadzce. Kadet podszedł do Beaty i uklonił się. Chciała wstać, ale Jakub nie puszczał jej ręki. Kręcił czarną głową i powiedział: — Nie. Kadet wyprostował się, najeżył brwi, ale ktoś podbiegł do niego i odciągnął go w bok. Jakub trzymał rękę Beaty, mrużąc: — Nie, nie. — Zobaczył Tola, który stał pod ścianą z kadetem, więc uśmiechnął się i szepnął: — Tolo... — Chłło.

niec w pepicie pokazał się znowu; kiwał głową do Jakuba, mówiąc: — Wcale nieźle. — Potem podał Jakubowi kieliszek, Jakub wypił, nie puszczaając ręki Beaty. Chciał jej powiedzieć, że jest bardzo silny, więc wysunął dolną szczękę i zgął ramię natężając mięśnie. — Czy pani wie... — rozpoczął przybliżwszy twarz do jej twarzy — gdybym tylko chciał... Ale przerwał, bo poczuł na głowie czyjaś dłoń. — Nie pij już więcej Jakubku — powiedział Tolo. Jakub odwrócił się i spojrzał w oczy Tola. — Dobrze Tolo... — jękał się — ale czy ty wiesz... — Znów szukał w głowie potrzebnych słów i powtórzył: — Czy ty wiesz... Tolo znikł; Jakub został z otwartymi ustami. Odwrócił się do Beaty, bo chciał jej powiedzieć, że bardzo kocha Tola. Ale jej także już nie było. Jakub wstał chwilejąc się, wyciągnął przed siebie ręce. — Wcale nieźle — usłyszał za sobą czyjś głos. Ruszył naprzód między tańczącymi, żeby odnaleźć Beatę, i zaczął rozgarniać rękami kręcące się pary. Nie było jej nigdzie. Jakub mrugał oczami, i krążył w kółko po posadzce, bo żyrandol rzucał ostre światło. Popchnął kogoś, ktoś na niego krzyknął, spotkał złośliwe oczki kadeta, aż wreszcie poślizgnął się i upadł. Usłyszał śmiech, więc podpierał się rękami, żeby wstać, ale kręciło mu się w głowie. Wszyscy przestali tańczyć i patrzyli na Jakuba, który dźwigał się z posadzki na czworakach jak kudłaty pies. Jakub podniósł się w końcu. Czuli się bardzo źle. Patefon grał teraz tango, pary znów zaczęły tańczyć, a on pozwalał się potrącać; chwiał się i mrucał do siebie, wciąż stojąc pod żyrandolem z opuszczonymi rękami. Ktoś go wreszcie popchnął w stronę drzwi, usłyszał znajomy głos, który mówił: — Skąd Szarlej wziął tego Żyda? — Ale nie starał się zrozumieć tych słów, bo czuł się źle i chciał wyjść. Znalazł się w ciemnym korytarzu i znalazł rękami, szukając drogi. Nigdzie nie było światła prócz szpary w drzwiach, z której znów dolatywał wale i śmiechy.

MECZYSŁAW JASTRUN

POETA I WSPOMNIENIE

Tak czuły jestem, gdy drzewa rozkładają
Zimy przygotowane na przyjęcie paków
Wyprostowują gałęzie zdrętwiałe,
Tak czuły jestem jak ptak i jak kłosa.
Jak gdybym słyszał
Wraśnięcie drzewa w skałę
Albo jak palce idą po klawiszach.
Powietrza, od którego jak drzewo zadrżałem.

Tak czuły jestem z każdą wiosną, przypominam
Dni, kiedy byłaś jasnowłosa, szczupła
Dziewczyną, dni wiosenne kwitły jak tkanina,
Stół fortepianem mógł być albo lufnia,
Pocztowe auto trąbiło od rana,
Dziewczęta, nimfy, twoje koheczanki
Nurzaly w mgłę porannej perłowej kolana,
Pijąc mleko parzyłaś usta brzegiem szklanki,
Jak ja, kiedy dotykam materii Ilrycznej
Wiersza —
Jak puch kłedy różowi dziecięce policzki
Jest świeżość pierwsza
Rzeczy, która się budzi, na nowo nazwana.

Tak czuły jestem z każdą wiosną, tak czuły od nowa,
Ale poezja moja jak Meduzy głowa
Spojrzeniem wszystko w kamień zamienia i w ciszę.
Wszystko to mnie przejmuję. Nielatwo pisać.
Nie umiem dwóch zdań złożyć, aby pod nie
Nie podłożyć twardego jak stół doświadczenia,
Nie umiem kształtu odłączyć od cienia.
Co towarzyszy nawet tej porze łagodnej.

Tak czuły, że znajduje pokrewieństwo
Z tym, co jest rozdzielone, co nanowo łączę,
Morza na wysokościach rozgwieżdżone gęsto
Głęboko w ziemi mają czarne kłace,
Pak kasztanu dotyka mnie wielbłądzia wargą,
Mowę szorstką przenoszę nad łacińskie i greckie dźwięki,
Których dingo uczono mnie w szkole jak lewej ręki,
Jakbym zamieszkać miał w Campanii lub w Argos.

Zapomniałem co czynił bóg albo bohater,
Ale ciebie pamiętam, Elektro,
Tak lotna, że nie zamknął cię w marmurze
Rzeźbiarz. Wybiegłaś zaraz po maturze.
Jak z ławką licealnej wybiegałaś latem
Ciesząc się, że wakacje cień z twych oczu zetrą.

Tak czuły jestem z każdą wiosną, że gdy do mnie
Wspomnienie wraca, nie ma w nim gorzkiego cienia,
Jest tylko wielkie drzewo, co się zazielenia
Na nowo i powietrze drży dźwiękiem imienia
Tej, której po imieniu nie nazwę, choć wspomnę.

Kołysany legendą w kamiennym okręcie
Pozwalam wiatrom głaszczyć swoją twarz gorącą,
Ptakom, kiedy nade mną w zygzak się roztrąca
Zazdroszczę, że im oblok gotuje przyjęcie.
Zapomniany przez wszystkich, wracam, Penelopo,
Do ciebie, co wciąż prujesz kwitnącą tkaninę,
Czekając, kiedy dotknę niecierpliwą stopą
Ziemi, do której płynę.



mne, z zamkniętymi bramami. Jakub szukał schronienia i ujrzał je wreszcie. Tam, gdzie wieża samotnie wspięła się w noc, były drzewa szumiące w ciemności, tylko małe światelko migotało w dole. Głowę Jakuba ogarnął chłód, potknął się o krawędź muru i rozstawił szeroko nogi. — Mam... — szepnął czując ogromną ulgę; to samo słowo powtórzył jeszcze raz. Ale potem ktoś szarpnął go za rękę i Jakub znów zobaczył chłopca z puklem na czole. Włosy błyszczały mu w ciemności, Jakub nie mógł zrozumieć, co się stało. Chłopiec krzychał cieniem ostrym głosem i szarpał jego rękę. Nagle nadbiegli jacyś ludzie. Jakub chciał uciec, ale potknął się i upadł na ziemię. Nie mógł już wstać, przytulił głowę do żwiru. Z pod powiek ujrzał żółty migocący płomień.

Cieńko mi opowiadać o dalszych przygodach Jakuba Golda, ale przecież nie skończyły się jeszcze. Ze żwiru podnieśli go ludzie, na jego głowę spadły razy obcych pięści. Nie mógł się bronić, bo wielki go po ulicy trzymając za ręce i kołnierze. Za nimi biegło paru chłopców gwizdząc na palcach. Jakub chował w ramionach swą kudłatą głowę i potykał się o bruk. Potem wpełchnęli go do bramy i wreszcie zdyszani wrzucili jak wór do pokoju, gdzie nisko na sznurze wisiła zielona lampa. Jakub zobaczył za drewnianą barierą chudego męża, czynnę w mundurze, który patrzył na niego z nad stołu. Powiedział: — Jak się nazywasz? — ale ludzie zaczęli krzyżeć wszyscy naraz i Jakub po raz trzeci tego dnia usłyszał, że jest Żydem. Zwisł głowę i stał w świetle lampy, zlizując językiem krew z rozciętej wargi. Człowiek w mundurze zastukał ołówkiem w stół i znów spytał: — Jak się nazywasz? — Wtedy Jakub odpowiedział: — Jakub Gold. — Wybuchła nowa wrzawa, ktoś z tyłu uderzył go w plecy, policjant znów zastukał w stół.

Potem zapytał go o ojca, więc Jakub odparł, że nie żyje, i o matkę, więc Jakub powiedział, że mieszka niedaleko i o niczym nie wie. Policjant zapisywał wszystko po kolei, wreszcie zapytał o coś ludzi stojących za Jakubem, wówczas wysunął się chłopiec z puklem na czole. Policjant mruknął do niego z nad stołu: — Jak się nazywasz? — a chłopiec odpowiedział głośno: — Zenon Kwiecień. — Pokazał palcem Jakuba i zaczął mówić przedko i cienko, wymachując rękami. Jakub patrzył i słuchał, ale nie mógł zrozumieć, jakby chłopiec mówił w obcym języku. Lecz nie odrywał od niego oczu i oblizując krwawiącą wargę pilnie spoglądał z pod brwi, jak Zenon Kwiecień potrząsa swoim złotym puklem i opowiada o tym, co zrobił on, Żyd Jakub Gold, nad grobem Nieznanego Żołnierza.

Noc spędził w zamknięciu, nazajutrz przewieźli go do aresztu. Przez tę noc Jakub zmienił się bardzo i policjant, który go badał wieczorem, zdziwił się rano na jego widok: oczy Jakuba były nabiegłe krwią i wargę mu spuchła, tak że wyglądał jak zmęczony ogar. Znowu spędził w celi całą noc. O czym myślał tej bezsennej nocy? Myśli Jakuba były czarne jak owa noc. Kółka w ciemności swą kudłatą głowę, po żydowsku biadając nad życiem. Niechże te myśli zachowa dla siebie, niech pozostań ukryte; wkrótce niewiele da się ukryć w życiu Jakuba Golda i wszyscy poznają jego dzieje.

Trzeciego dnia był na śledztwie, badał go kławy sędzia Pankrat, którego żona miała raka w piersi. Potem znów siedział w celi i słuchał bicia oskardów. A wieczorem przekreślił klucz w jego drzwiach: Jakub zobaczył chleb i poczuł, że jest głodny. Lecz w chlebie znalazł zwinętą kartkę z pismem Tola. Za oknem zaczynał się wówczas czerwony zmierzch, więc Jakub zdołał

przeczytać, że za parę dni będzie wolny i że jego matka jest bardzo dzielną kobietą.

Jakub płakał tej nocy, leżąc na pryczy z rękami pod głową. Widziały to tylko dwie gwiazdy z mlecznej drogi, które przystały w oknie jego celi. Jakub pomyślał: — To jest bardzo dziwne. Płacze z radości, a przecież jestem w więzieniu. — I zasnął po tej myśli, niezmiennie zdumiony.

Tak skończyło się dzieciństwo Jakuba Golda. Trwało dłużej niż dziecięce lata Błażeja Pascala, który w trzynastym roku życia był uczonym. Jakub rozwijał się powoli i kochał świat. Ten świat, w którym stał dom na Łąkowej, grał kataryniarz przed bramą parku i gołębie gruchały na dachach. Nad światem czuwał Bóg, o którym Jakub wiedział, że uratował Noego i zwierzęta, a ukarał Kainę. W tym świecie niegdyś żył jego ojciec, Leon. Jakub ojca nie pamiętał, ale matka mówiła często, że wszyscy go kochali, bo był to dobry człowiek i nikogo nie skrzywdził. Więc Jakub przysięgał sobie, że on także nigdy nikogo nie skrzywdzi. Czuł się bezpiecznie i ufaj, że jeśli nie będzie strzelać z karkowca do gołębi, to do niego także nikt nie wystrzeli z karkowca, w myśl zasady matki: „Leben und leben lassen”. Że jeśli on na nikogo nie podniesie ręki, wtedy na niego nikt również nie podniesie ręki, w myśl tej samej zasady. Jakubowi wydawało się to mądre i sprawiedliwe. Miał siedemnaście lat, kochał swój kraj, swoją matkę, nad jego łóżkiem wisił książę Józef skaczący w fale Elstery oraz Kościuszko składający przysięgę na rynku. Dzieciństwo Jakuba płynęło pogodnie i powoli, jak gdyby Pan Bóg, który przemawiał nie raz do Abrahama i Izaka, tym razem odezwał się do Jakuba Golda: — Powoli, Jakubku. Nie masz się do czego spieszyć.

Jakub siedział w areszcie dziesięć dni. Po dziesięciu dniach wyprowadzono go z celi; w kancelarii urzędnik oddał mu krawat, legitymację i zegarek. Jakub podpisał na kartce swoje nazwisko, a urzędnik powiedział: — Na tym się skończyło, panie Gold, niech pan uważa na przyszłość. — Jakub uklonił się i zapytał, czy może już iść. — Tak — odpowiedział urzędnik — zwolniliśmy pana.

Na dole w poczekalni siedziała jego matka. Było tu trochę kobiet w chustkach, jakieś dziecko płakało pod ścianą, na środku stał policjant bez czapki. Kółka się na obcasach i patrzył w podłogę. Jakub nie od razu poznał swoją matkę, bo w poczekalni niewiele było słońca, ale kiedy miał wyjść, wydało mu się, że słyszy jej głos. Rozmawiała z kobietą w zielonej chustce, której dziecko płakało; nie widział Jakuba. Podszedł do niej bliżej i uśmiechnął się: — To ja, mamę. — Stał tyłem do światła i dopiero kiedy poczuł na swojej twarzy jej drżące ręce, usłyszał jak szepcze płacząc: — Jakubek... Potem otarła łzy, usiadła, kazała mu usiąść koło siebie i rozłożyła na ławce serwetkę z czerwonym monogramem. Powiedziała, żeby jadał, bo musi od razu nabrać siły. Więc Jakub jadł szybko, dużymi kęsami, a ona patrzyła w jego twarz, trochę wychudłą i zeznialą. Policjant, który stał z rękami w kieszeniach, podszedł ku nim i usiadł na ławce. Powiedział do Jakuba: — Znamy się, co? — Jakub poznał w nim tego samego, który go pytał w komisariacie, jak się nazywa. Miał niebieskie oczy bez rzęs i żółte włosy, pożyczone ze skroni. — Smakuje? — zapytał Jakuba. Jakub skinął głową, a matka poczęstowała policjanta bułką, zapewniając go, że musi mieć siły do swojej ciężkiej pracy. — Tak — zgodził się — praca nie jest lekka. Z panem to jeszcze nie, ale są tacy, że nie daj Jezusie. — I dodał, żując bułkę, że od razu był pewny niewinności Jakuba. — Słusiak pana zawiódł — rzekł poważnie. — Znałem jednego, co się złał na własnym weselu. — Potem wstał, otarł usta kciukiem i powiedział: — Służba, proszę państwa, nie naręczona. — Włożył czapkę i zaśalutował, życząc Jakubowi i matce wszystkiego dobrego.

W drodze do domu Jakub szedł pół kroku przed matką; słuchał w milczeniu o tym, co się działo w ostatnich dniach. Szli w słońcu, psy grzały się przed bramami, ale Jakub nie patrzył na nie. Było mu gorąco w czarnym ubraniu, brudny pomysł kołnierzyk ścisnął mu szyję. Chciał już znaleźć się w domu i zerkał niespokojnie wokół, jakby się bał, że go ktoś zatrzyma.

Matka opowiadała mu, jak go ratował Tolo Szarlej. Jakub przeklnął ślinę i zwolnił nieco kroku. Potem zapytał, kiedy się dowiedziała o tym, co zaszło i czy długo czekała wieczorem na jego powrót.

— Nie — zaprzeczyła — nie przeczuwałam nieszczęścia. — O jedenastej rozległ się dzwonek u drzwi, więc była pewna, że to Jakub wraca. Lecz to był Tolo. Pocałował ją w rękę i powiedział: — Niech się pani nie niepokoi, Jakubek jest zdrow, ale nie wróci na noc. Zdarzyła mu się przyгода. — Patrzyła w jego oczy ze strachem i musiała usiąść po tych słowach; wtedy Tolo wziął ją za rękę i opowiedział jej wszystko. Kiedy mówił, zauważyła, że druga mu lewa brew. — To się stało z mojej winy — zakończył cicho. — Za dużo pozwoliłam mu wypić. Ale niech pani będzie spokojna. Jakub wróci i nie spadnie mu włos z głowy. — Przez chwilę milczała, drepząc za Jakubem drobnymi kroczkami. — To dobry chłopiec, ten Tolo Szarlej — westchnęła; Jakub skinął głową.

W domu odpoczęli po skwarze. Nic tu się nie zmieniło. W kacie jadalni cykał zegar. W pokojach było jak dawniej cicho i cienisto. Jakub zdjął marynarkę, rozwinął krawat, a potem spojrzął w lustro; zobaczył swoją twarz i zdziwił się, bo wzrok, który spotkał, był podobny do wzroku jego ojca na fotografii zrobionej krótko przed śmiercią. Wisiła nad kredensem, matka mówiła często, że ojciec w życiu wyglądał mniej po żydowsku. Jakub zamknął oczy i otworzył je po chwili. Znowu spotkał ten sam zmęczony wzrok i zrozumiał, że jest synem Leona Golda.

Siedzieli przy stole, Jakub słuchał, a ona opowiadała, że w ciągu tych dziesięciu dni w gimnazjum odbyły się dwie sesje w sprawie Jakuba i że na drugą wezwano ją osobiście. Był wtedy pierwszy maj, ostrzegano ją, żeby nie wychodziła na ulicę, bo może być gorąco. Poprzedniego dnia aresztowano wielu bezrobotnych z wydm, a w śródmieściu policja zamknęła niektóre przejścia. Dobrze, że w końcu do gimnazjum i wozy wskazał jej pokój. Jakub zapytał, który pokój. Odpowiedziała, że nie pamięta. Na środku był stół pokryty sukmem bordo, na ścianie wisił Pilsudski między Słowackim i Mickiewiczem, a w rogu stał wypchany niedźwiedź. — Gabinet dyrektora — mruknął Jakub. Kiedy weszła, siedzieli już tam wszyscy, było duszno od dymu. Dyrektor podał jej rękę i powiedział: — No i co, pani Gold, kłopoty mamy z Jakubkiem? Wtedy łysy nauczyciel z grubym karkiem zaczął sapać i rzekł do siebie, tak że wszyscy słyszeli: — Od dwudziestu lat powtarzam, że w mieście za mało kłozetów, a za dużo świętości; jak tak dalej pójdzie, to obsiadają wieże katedry. — To Baturyn — powiedział Jakub. — Może Baturyn — zgodziła się matka. Zauważyła, że po słowach Baturyna, książę, który siedział koło niego, poczerwieniał i zaczął kręcić młynka palcami na brzuchu. Dyrektor poprosił o ciszę i rzekł: — Pani Gold, pani syn był porządnym uczniem, ciału nauczycielskie darzyło go dobrą opinią. To, co się stało, uważamy za nieszczęsny przypadek. To chyba jasne, jak sądzę? — zwrócił się do profesorów, wówczas młody nauczyciel w sportowej marynarce powiedział dosyć głośno: — Niewiadomo, niewiadomo. — Kilka głosów poparło jednak dyrektora, wraz z księdzem, mówiąc: — Jasne, jasne! — To gimnazjum — wyjaśnił Jakub — on nie lubi Żydów. — Domyśliła się tego; ale dyrektor ciągnął dalej: — Nie wiem jednak, czy pani sobie zdaje sprawę, pani Gold, że władze policyjne i wojskowe mają do tego stosunek całkiem inny. Sądzę, że pani wie, jakie znaczenie posiada symbol Nieznanego Żołnierza w narodzie polskim, którego armia jest tak młoda i okryta chwałą. — Po tych słowach zrobiło się cicho, a matkę wydało się, że profesor Baturyn mrugnął do niej okiem. — Dlatego — mówił dyrektor — Jakub, jeśli uda się zwolnić go z aresztu, musi być ukarany jako uczeń polskiego gimnazjum. Nawet wbrew chęci naszego serca — dodał łagodnie i położył rękę na piersi. — Kara nie będzie zbyt surowa, droga pani Gold. Jakub straci wprawdzie rok nauki i nie zostanie dopuszczony do matury, lecz w roku następnym będzie mógł przystąpić do egzaminu dojrzałości, tutaj, w naszym gimnazjum, na prawach eksterna. W teorii oznacza to wydalenie, ale pani rozumie, pani Gold, dlaczego tak musimy postąpić, i pani rozumie, że w praktyce oznacza to całkiem coś innego. — W tej chwili profesor Baturyn mruknął głośno: — Odbierać chłopcu rok życia za to, że się wysiłował nie tam, gdzie inni! Powtarzam, że jestem temu przeciwny. — Na to nauczyciel gimnazjum powiedział: — To cynizm. — Ale dyrektor podniósł dłoń i zapytał: — Czy pani ma coś do powiedzenia, pani Gold? — Westchnęła. — Panie dyrektorze, co ja mogę mieć do powiedzenia? Cierpi się... — Wtedy dyrektor rozłożył ręce.

Wracając, na rogu Długiej musiała skręcić w przecznicę, bo konny policjant wje-

JELEŃ GÓRA

Lucznicy szyli mrok iglasty kniei leśnej,
A gdy rogi jak wojsko powietrzne przegrzmiały,
Na skrzyżowanych świerków gałęziach przynieśli
Lowcy jelenia krwawiego. W siódle skały
Zarosłej mchem pluszowym śladł książę — i wody
Zatękał, ale źródła szukano daremnie
U stóp zielonej góry, której cienie miały
Pragnienia jeszcze nięgaszonego słodycz.
Słodycz w ból przeszyła, książę wydawał rozkazy
Nielustniejącym źródłom i kłó gwarą gminu,
Aż nagle zaskomliły pęty gończe — i w ciemnej
Chmurze smu izami jego zmęczone obrazy
Zespoliły się w inną całość. I wiek minął.

Opodał pod stropami śpią ślasy książęta
W czarnym Wrocławiu. Strzegą ich tarcze z kamienia,
Gdzie gryf spada na orla, gdzie trwożne zwierzęta
Wletrzą pożar, co w rubin witrażów się zmienia
Po latach, gdy już nawet białego popiołu
Nie dotknie pątnik nogą, co wszystko pamięta.
U zwęglonego masztu zburzonych kościołów
Wróble świerkają, wnosząc swój gwar franciszkański,
Gdzie między ruinami, w czarnych fundamentach
Czas pastwi się nad kością murów, pies beapafiski.

To wszystko na gobelinie
Zapamiętane jest słodziej
W materii, która nie spływa
Z falą wiosennej powodzi.
Lucznicy niosą jelenia
Martwego i krwawiego,
Polana jest w światłocieniach
I blade w gałęziach niebo.
Książę uśmiecha się z konia
Do minionego widzenia,
Lecz nie ugasi pragnienia
Niebem we wklęsłych dionach.
Spod hełmu jeden wystaje
Łok czarny, kiedy dziewczyna
Pierścień zamienia w kołnankiem.
Ja nie ugaszę pragnienia
Wodą czerpaną dzbankiem
Ani z diamentu pierścienia.
Tam gdzie się łąka zaczyna,
Na której ptaki pobite
Pośród wesołej szereży
Śnieg naśladują i włosy
Lowców — godzina przed świtem
Na ziemi ściga niebiosy,
Jak ja, co czynię to samo
Z poezją, nie wiedząc kiedy
Przez serce wchodzi jak bramą,
Jak źródło jest, co wytryska
W pustyni kłmnej pogody,
Lub jak dębowa kołyska,
Którą rytmicznie naciska
Stopa kobiety młodej.

chał na chodnik i płazował ludzi, którzy krzyżeli, tłocząc się wokół niego. Zobaczyła czerwone twarze i ręce szarpiące czarny but i strzemie. Młody mężczyzna z portowaną głową podniósł pięść i zawołał: — Ściągnąć z konia! — Widziała, jak chuda kobieta uczyła się ręki policjanta, jak mu wyrzywa ktoś szablę, potem rozległ się strzał i przechodnie zaczęły uciekać. Ale uspokoiło się szybko.

Jakub słuchał milcząc. Kiwał tylko głową. Pomyślał, że kara, jaką musi ponieść jest sprawiedliwa, a wina, którą popełnił, bezwzględnie wielka. Lecz mimo to zdawało mu się, że wina nie jest jego, a kara dotyczy innych. Życie wprowadzało Jakuba w świat zjawisk społecznych. Nie pojmował go jeszcze i patrzył zamyślony na czarny dach oficyny, gdzie pod kominem siedział gołąb z rudą plamką na gardle.

Nazajutrz Jakub dostał gorączki; chorował siedem dni. Matka nie mogła udźwignąć w pościeli jego ciężkiego ciała; a przede wszystkim bardzo. Siedziała nad nim siedem nocy, szepejąc śpiewne modlitwy. Na poduszkach leżała czarna głowa Jakuba, na kółdrze spoczywały jego śniade ręce, a ona dziwiła się, jak bardzo wyrósł jej syn. Po raz pierwszy widziała jego pierś okrytą ciemnym puchem, jego uda twardsze, niż pień dębu, jego brzuch sklepiony jak tarcza. I dziwiła się, że Jakub wymawia w gorące imię jej męża Leona.

Tolo Szarlej przyszedł po chorobie Jakuba i zastał go w fotelu, owiniętego w pled. W pokoju było pełno słońca, za oknem trzepał ktoś dywan, Jakub miał nie ostrzyżone włosy i siedział z książką otwartą na kolanach. — Dzieci kapitana Granta? — roześmiał się Tolo i poklepał go jak zwykle po karku. Ale Jakub schował książkę, a Tolo zauważył, że kark mu schudł. Wtedy usiadł na krześle obok niego i spytał: — Co powiesz Jakubku? — Jakub spuścił głowę; odpowiedział cicho: — Co ja mam powiedzieć, Tolu?

Tolo zaczął mówić. Jakub nie wszystko rozumiał. Widział jego oczy, nozdrza i brwi blisko swojej twarzy, jego szczupłe

palce w szybkich, drobnych gestach. — Po maturze — tłumaczył mu prędko — po maturze idę do wojska. Ty zostaniesz sam. Tutaj, w tym mieście. Musisz być mądry i ostrożny. Wiedzą już o tobie, pisali o tobie w gazetach, 3-go maja, kiedyś siedział, przyszedł nad grób z wieńcem, wstęga i jakimś drewnianym mieczem. Krzyżeli, że chcą twojej głowy. A potem zaczęli rozważać sklepy i bić. Musisz schować swój czarny łeb. Musisz zapomnieć o życiu przez ten rok i kiwać się nad książką jak nad Talmudem. Musisz zejść z drogi każdemu, kto ciebie zaczepi. Powiesz słowo, a Duch Święty już cię nie wybroni. Ciężkie dla was przyszły czasy, ja to wiem, ale jedno ci mogę powiedzieć, Jakubie: sami skazaliście się na pokorę, a kto raz schylił kark, ten go już nigdy nie podniesie. Zostaniesz więc z matką, a ja ci w niczym nie będę mógł poradzić. We wrześniu jadę do Grudziądza na rok, przydzielili mnie do kawalerii. Potem studia. Jeśli będziesz mądry i twardy, spotkamy się za rok w Warszawie. Co na to powiesz, Jakubie?

— Będę mądry i twardy — odpowiedział Jakub.

Tolo uśmiechnął się i odgarnął kosmyk włosów z brwi.

— Masz pozdrowienia od Beaty — wstał wyciągając rękę. — Kazala mi powiedzieć, że bardzo cię lubi. Ty wiesz, kto dzwonił do prokuratora w twojej sprawie? Wiesz, kto to uczynił, że siedzisz tutaj i patrzysz w ten dach? Kto wydał rozkaz: zwolnić Jakuba Golda?

— Nie wiem — zdziwił się Jakub.

— Jej stryj. Generał Orło.

— Generał Orło... jej stryj... — szepnął Jakub i bardzo się zdumiał, bo generał Orło był bohaterem okrytym ranami w wojnie. Jakub widywał go czasem w alei dla konnych w parku, gdy kłusował na białej klaczy, Wilejce, którą podarował mu Marszałek. Jeździł bez czapki, miał młodą twarz i siwe włosy, w rękę spiczorowę z gałką i rękawice z mankietami. Za nim o dziesięć kroków podskakiwali w siodłach adju-tanci. Zostawał po nich kłęb kurzu, sześć

ostróg i zapach, który chłopcy wciągali w nozdrza. Jakub był zdumiony i powtarzał w myślach: — Proszę zwolnić Jakuba Golda. — Nie mógł zrozumieć, jak się to dzieje, że wraz z upadkiem spotkało go nagle wyniesienie. Jacyś ludzie żądali jego głowy, a generał Orło nie chciał jej wydać i telefonował w tej sprawie do prokuratora. Jakub przeląkł się trochę i dotknął palcem swojej głowy. Była kudiłata i twarda. — Muszę być mądry — pomyślał.

— Kazala cię pozdrowić — usłyszał od drzwi. — Po maturze wyjeżdża do Paryża, żeby studiować malarstwo. Do widzenia, Jakubku. — Tolo stał w drzwiach z podniesioną ręką.

— Do widzenia, Tolu — odpowiedział Jakub.

II.

Czas jest błogosławieństwem, które zbyt mało się ceni. Przybliżyła wprawdzie do śmierci, ale równocześnie coś oddalała od nieszczęścia jeśli nie czas? Stary krawiec ocalały z Treblinki mówił mi: — Żył się. Czy ja wiem? Był dzień, potem noc, a potem znowu dzień...

Rozpoczęły się męskie lata Jakuba. Przez rok był mądry i twardy. Wreszcie wręczono mu papier o złoczonych brzegach, na którym zaświadczone wyraźnie, że Jakub przestał być dzieckiem i osiągnął dojrzałość. Można to zresztą poznać po jego twarzy. Sciemniała jeszcze, na policzkach nosił ślad zarostu, między brwiami przybyła jedna zmarszczka. Głowę trzyma teraz Jakub wysuniętą naprzód, jakby pochylał mu się kark. Przechodnie, mijając go, zaglądają mu w twarz. Warto zobaczyć, jakie ma oczy ów niski kolos, z kudiłatą czaszką wbity w bary.

Warszawa — to kilka miast. Wysokie i białe w słońcu, z wstęgami asfaltu, w którym odbija się niebo, z pustym placem, gdzie nieruchomy jeździec ma za plecami ze spiżu kolumny i park. Ciasne, chude i czarne, rozepchane przez zgilek, gdzie ludzie biją konia kłęczącego na bruku, a że-brak z ręką przy gardle charczy o swoich płucach i o swoich dzieciach. Rozległe i

zielone, gdzie chłopczyk w czerwonej czapce trafia z łuku żyrafę na kółkach; białe psy szczekają tam z za sztachet.

Jakub mieszkał na ulicy Siennej, okno wychodziło na podwórze głębokie jak kopalnia szyb. Śpiewacy z zadartymi głowami i polykacze noży pojawiali się często na jego dnie. Wtedy Jakub wypychał pięści w uszy i mruczał nad książką słowa, które za sześć lat przyniosą mu pieniądze od pacjentów. Kiwał się przy tym w przód i w tył, jak jeździec na zmęczonym koniu. Nauka szła mu trudno; ślepał nocami do późna.

Na uniwersytecie rosły cieniste kasztany. Jakub zatrzymywał się czasem pod jednym z nich, bo ich szum przypominał mu park w jego mieście. Zamykał wtedy oczy i wyobrażał sobie, że stoi w alejce, która prowadzi do klombu z kamiennym labiryntem, i że usłyszy zaraz głos pani Rozenowej: — Ładnego syna pani ma, pani Gold... — Otrząsał się jednak ze wspomnień. Przy wysokiej bramie czuwał żołnierz w granatowych liberach. Powoli wracało mu do głowy wszystko, czego nauczył się tej nocy; wysuwał naprzód szczękę i ruszał przed siebie.

Kiedy żegnał się z matką na Łkowej, powiedziała: — Błogosławie, moje dziecko. — Jakub stał z opuszczonymi rękami i patrzył na nią milejąc, bo nie umiał jej powiedzieć, że on, Jakub, także ją błogosławi. Na dworcu stała przed oknem jego przedziału; czuł na sobie jej oczy, które były już stare i zawsze wilgotne jakby z łez. — Widać, starość, to lzy — myślał Jakub. Wystawił z wagonu swoją wielką głowę i rzekł: — Pisz do mnie listy, mamo. — Tak, tak — szepnęła, wyciągając chusteczkę z woreczka. — O sobie, o Łkowej... — wylizwał Jakub na palcach. — O wszystkim — dokończyła za niego; wtedy pociąg ruszył. — Jakubku! — krzyknęła drepejąc z chusteczką w rękę. — Mamo! — zawołał Jakub i wyciągnął do niej ramiona, a w jego oczach błysnęły strach.

(d. c. n.)

Kazimierz Brandys.

RYSZARD MATUSZEWSKI

Trzyście opowieści o żołnierskiej tułaczce

POJĘCIE „opowieści” jako szczególnej odmiany małych form w prozie, odrębnych od pokrewnych gatunków — noweli, opowiadań czy gawędy, prowadzi nas niewątpliwie ku romantyzmowi. Ten osobliwy typ opowiadania, w którym element dziwności i fantastyki rozstrzyga zazwyczaj o kompozycji utworu, ma swój znakomity rodowód w twórczości Poe’go, Hoffmana, Stevensona, znakomitą kontynuację w opowieściach Conrada.

„Opowieść” jest gatunkiem romantycznym. Przyjęcie tej formy narracji rozstrzyga do pewnego stopnia o postawie pisarza. Opowieść jest czymś przeciwnym realizmowi nie tylko dlatego, że wprowadza zazwyczaj elementy fantastyki, ale i dlatego, że tok relacji zobietywizowanej zastępuje osobistą relacją postaci opowiadającej; relacją, której subiektywizm ma dla tego gatunku szczególniejsze znaczenie. Dla współczesnych, w stosunku do utworów z epoki klasycyzmu, opowieść romantyczna odznacza się niewątpliwie jakimś rozbięciem formalnej konstrukcji. Z dzisiejszego punktu widzenia posiada ona jednak na pewno konstrukcję bardzo ścisłą. Jest po prostu romantyczną nowelą: oparciem opowiadania nie o kanon dydaktyki, czy rozwikłanej pomysłnie intrygi, lecz o nastrój, wzruszenie, udział pierwiastka cudowności lub niezwykłości. Daleki jestem od chęci zakreślania niewzruszonych granic gatunkom literackim. Te uwagi wstępne wydały mi się jednak konieczne przed przystąpieniem do omówienia zbioru utworów Ksawerego Pruszyńskiego, którym autor sam w tytule użył, po części nie bez racji miana „opowieści”.

Jak zaznaczyłem, w samym przyjęciu formy pisarskiej o charakterze tak określonym, tkwi także określony wyraz postawy pisarza. W twórczości Pruszyńskiego tradycje romantyzmu dochodzą jednak do głosu także i w innej postaci.

Z wielkich mistrzów prozy polskiej Stefan Żeromski w swym eposie historycznym, Żeromski z „Popiołów”, „Sulkowskiego”, „Dumy o hetmanie” zdaje się w sposób urzekający patronować autorowi „Trzynastu opowieści”. Do Żeromskiego zbliża się Pruszyński nie tylko w lirycznie

przejawiającym się kultywacji tradycji historycznej, wyróżnianiu w niej i podnoszeniu czynnika oświecenia i postępu, ale także w namietnym, pamphletowym reformizmie, w zdecydowanej walce z pewnymi przejawami rodzimego wsteczństwa. Te dwa czynniki — kult tradycji i społeczny reformizm — u Pruszyńskiego, podobnie jak u autora „Popiołów”, doskonale ze sobą się godzą. Doskonale, w wypadku Pruszyńskiego, trafiają w przygotowany przez wielkiego poporzednika grunt literacko-ideologicznych upodobań polskich. Jest to już dziś bowiem wyzłobiona koleina polskiej tradycji poromantycznej.

I tu leży może źródło głębokiej różnicy, nie jedynie zresztą, między rolą jaką odegrać może obecnie twórczość typu „Trzynastu opowieści”, a rolą, jaką odegrała niegdyś twórczość autora „Ludzi bezdomnych” i „Przedwiośnia”, nawet w tych swoich partiach, w których nie była bezpośrednim polickiem dla współczesności, nawet w tych utworach, gdzie, pełna romantycznego patosu, obracała się ku czasom przeszłym.

Nie o to bowiem chodzi, że w „Opowieściach” Pruszyńskiego nie ma tych akcentów namietnego społecznikostwa, jakie cechowała cała, także historyczną twórczość autora „Wiernej rzeki”, że nie wbił się one tą bolesną drzazgą w naszą wrażliwość, że wyzwalają w nas uczucia o wiele mniej sprężne niż te, jakie budziły sceny z „Popiołów”, że nie ma w nich „ani tej goryczy, ani tego rodzaju pasji”. Nie o to idzie, że Pruszyński w gruncie rzeczy w nieporównanie większym stopniu, niż społeczny radykalizm uosabia romantyczną, poszlachecką ideologię konserwatywną, że proporcja nawiązań do przeszłości oraz akcentów walki i krytyki społecznej jest w jego twórczości inna niż u Żeromskiego, a jego społeczny nonkonformizm sprowadza się do zagadnień zakreślonych w praktyce stosunkowo wąsko.

Rzecz leży w czym innym. Leży w funkcji jaką spełniają dziś te same nawet formy stosunku do rzeczywistości w literaturze, których funkcję wczorajszą spełniała twórczość Żeromskiego. Funkcja ta się zmieniła. Zmieniła się bowiem epoka i warunki społeczne. Społeczny idealizm, skraj-

nie samotnicza postawa jednostki, walczącej w imię hasła społecznych z niezrozumieniem ogółu, nie jest dziś, w okresie zorganizowanej i realnie pojętej walki o postęp, ani właściwym, nie tracącym literackością, odbiciem rzeczywistości, ani najlepszym wyrazem potrzeb tej walki.

Stwierdzenie to nie jest jednak właściwie zarzutem przeciwko „Trzynastu opowieściom”. Jeśli rozwiódłem się dłużej nieco nad stosunkiem postawy Pruszyńskiego do Żeromskiego, to stałe mając w pamięci, że na pełny wyraz tej książki złożyły się co najmniej dwie wymienione wyżej postaci tradycji romantycznej. Kto wie nawet, czy ta, od której przypomnienia zaczęliśmy, tradycja romantycznej legendy i baśni, nie służy Pruszyńskiemu, wchodzącemu do literatury jako publicysta, a więc obciążonemu retoryką, za środek w przełamaniu tradycji Żeromskiego przetransmitowanej również retoryką i dydaktyką.

„Trzyście opowieści” wprowadza nas w atmosferę jeszcze innego, bliższego nam datą powstania dzieła literatury polskiej: w atmosferę „Nurtu” Berenta. O tym cyklu kunsztownie stylizowanych opowieści z epoki legionów Dąbrowskiego przypomina nam nie tylko motto z „Wierza do legiów polskich” Godebskiego, ale także i temat, dumnie i boleśnie nasycony wskrzeszonymi wspomnieniami z tamtych lat.

Pruszyński w „Trzynastu opowieściach” świadomie wiąże dzieje ostatniego polskiego tułactwa i najnowszych tułaczek tradycję żołnierskich z lat 1939—1945 z tradycjami odległych epok i krajów. Wydaje się niekiedy, że w tym celu mitologizuje i ufantastycznie rzeczywistość, nagina ją do swoich narratorskich potrzeb. Oto przed oczyma żołnierzy z pancernej dywizji generała Maczka staje żywe widmo Wielkiej Emigracji sprzed stu lat, obsłuzie polskiego czołgu podczas inwazji na Francję towarzyszą słowa „Ksiąg Narodu i Pielgrzym-



Ksawery Pruszyński
(rys. Janiny Konarskiej-Slonimskiej)

stwa Polskiego”, emigrant z Samarkandy poznaje tatarską legendę, stanowiącą odpowiednik podania o krakowskim lajkoniku, francuskie i szkockie kościoły zaludniają się wizerunkami polskich świętych i Matki Boskiej Częstochowskiej, a polski robotnik Dąbrowszczak umiera z hiszpańskim róznicem z granatów w dłoni. Pomieszanie elementów różnorodnych tradycji i kultów, specyficzna egzotyka nieoczekiwanych zbliżeń rzeczy odległych w przestrzeni i w czasie, niewątpliwie uprawdopodobniona przez wyjątkową sytuację dziejową czasu wojny — oto klimat „Trzynastu opowieści”.

Element fantastyki w ścisłym tego słowa znaczeniu występuje przy tym właściwie w utworach Pruszyńskiego tylko wyjątkowo. Ma to miejsce w opowieści pt. „Gwiazda wytrwałości”, gdzie czterem żołnierzom na urlopie w brukselskim szynku ukazują się postaci Joachima Lelewela i, jak w „Rozmowach zmarłych” Fontenelle’a toczy z nimi długą, fikcyjną rozmowę.

Częściej znajdujemy się natomiast w atmosferze niezwykłości uprzedmiotowionej, w atmosferze osobliwego przypadku. Zabity pod Narvik żołnierz niemiecki pochodzi z tego samego miasteczka i nosi to samo imię i nazwisko, co żołnierz zabity podczas wojny poprzedniej, którego fotografię „jakis uparty wewnętrzny, mus, niewyrozumowany imperatyw psychiczny”, kazał niedługo narratorowi wziąć z bawarskiego kościoła (opowieść pt. „Człowiek z rokokowego kościoła”). Podrzucona polska książka, którą czytają żołnierze z byłego 10 Pułku Strzelców Kanińskich, pielęgnującego swe pułkowe tradycje — okazuje się pamiątką po oficerze-emigrancie z tegoż pułku w czasach Powstania Listopadowego („Podrzucona książka”). Malarsko-witrazysta, który wierzy w istnienie osobliwego barwnika, zrazu niewidocznego, a występującego według legendy na szkłach witrażu dopiero po śmierci artysty, wykrywa podobny sekret malarski: w jakiś czas po jego wyjeździe na front, jako żołnierza brygady spadochronowej, białe miejsca malowanego przezeń witrażu w Szkocji zabarwiają się na kolor krwi. („Spadochronowy witraż”). Autor nie mówi wyraźnie, że artysta zginął, ale uprawdopodobnia to. Nie stawia „kropki nad i”, która pozwoliłaby wnioskować, że treść legendy podaje czytelnikowi do wierzzenia, ale niewątpliwie wiarę tę sugeruje.

W ogóle stosunek do zagadnień wiary i kultu religijnego ma u Pruszyńskiego charakter pozbawiony cech wyraźnej deklaracji, ale nie pozbawiony oznak ciepłej sympatii. Religia nie występuje tu jako wartość metafizyczna, bezwzględna, jak u pisarzy katolickich, ale jako składnik bogactwa tradycji historycznej. Jeśli bohaterów powieści cechuje religijność, to wyraża się ona wyłącznie jako religijność zewnętrzna, obrzędowa, czasem występuje jako rodzaj dziwactwa czy fantazji u ludzi nie odznaczających się bynajmniej świętością życia (dwukrotnie powtarzający się motyw rozwziętego malarza religijnych obrazów — w „Madonnie mikulińskiej” i w „Spadochronowym witrażu”), zawsze jako pewien emblemat, zewnętrzne znamię łączności z historią — jedyną istotną prawodawczynią czynów ludzkich, główną więzią spajającą przedstawicieli tego samego narodu, więzią w dużym stopniu irracjonalną. Nie czemu innemu, a utrwaleniu tej właśnie irracjonalnej, historycznej więzi służą u Pruszyńskiego wszystkie, skrzętnie zespalane przezeń, żywe nurty tradycji, z silnie akcentowaną tradycją radykalizmu włącznie.

Z pasją i upodobaniem podkreśla Pruszyński współistnienie rewolucyjnego romantyzmu z elementami tradycjonalistycznymi. Katolicy Baskowie w szeregach czerwonej Hiszpanii, „czerwony” Dąbrowszczak z różańcem, rycerskie tradycje i sumienie „radykalnego” myśliciela-samotnika czule na krzywdę społeczną — oto neoromantyczny historyzm autora „Trzynastu opowieści”. Przy pomocy podobnego stosunku do historii, Żeromski usiłował niedługo zbliżyć i sprowokować obraz dziejów optymistycznie wyidealizowanych w duchu sienkiewiczowskim. Pruszyński chciałby dziś, w warunkach przekształconej rzeczywistości kulturalnej i wrażliwości odbiorcy dokonać rzeczy wręcz odwrotnej: przerzucić przy pomocy podobnych środków most pomiędzy dawnym a nowym, między tradycją i jej zaprzeczeniem.

„Żeby zrozumieć historię Polski... trzeba pamiętać, że właśnie najwięksi, Kollataje, Staszice, Kościuszkowie, których dziś obkłada ten, co by ich kamieniował wtedy, znośli gehennę, jak w żadnym innym narodzie, o której dziś już nikt nie pamięta. Mało tego. Trzeba samemu w Polsce przeżyć część małą tego, co przeżywali najwięksi” (str. 149).

Znamy ten romantyczny mit wielkiej, samotnej jednostki.

Piękne to zdania, lecz retoryczne. Żeby zrozumieć historię, nie wystarczy ją przeżyć i rozmyślać się w jej dekoracyjności. Irracjonalność takiego stosunku może być cennym źródłem wzruszeń i narzędziem techniki społecznej. Żeby zrozumieć historię i móc nią kierować, należy ją zrozumieć jako zespół praw społecznych, a w tym zrozumieniu romantyczny historyzm Pruszyńskiego oddaje nam usługi nie wielkie.

Może jednak znów zesłaliśmy w krytyce

„Trzynastu opowieści” na niewłaściwe tory? Przecież to opowieści, baśni. Nie można ich brać jedynie za wykład filozofii historii! Trzeba zanalizować ich stronę artystyczną, dostrzec barwny język, zręczną kompozycję, cenną umiejętność wywoływania wzruszeń czytelnika. Niewątpliwie. Opowieści Pruszyńskiego są piękne i przejmujące, zwłaszcza niektóre: „Madonna mikulińska”, „Wiatraki z Ranley”, „Podrzucona książka”, „Gwiazda wytrwałości”. Nie można jednak przeczyć, że należą do rodzaju, w którym trudno oddzielić walory o przeważającym charakterze estetycznym od innego typu treści emocjonalnych. Znowu: nie tylko romantyczna baśń, podciągająca niezwykłością, ale i patriotyczna dydaktyka, tkwiąca korzeniami nawet w tym, co stanowi ich walory estetyczne. Opowieści wyrastają z niepokoju polskiej tradycji. Są szlachetne w patriotycznej intencji i absolutnie nieprzetłumaczalne na żaden inny język europejski. Jeszcze raz ta sama przejmująca nostalgia, chłopska zawziętość i szlachecka fantazja, prymitywna wiara przodków i nowa wiara w wolność, sprawiedliwość, powszechną oświatę, w specyficznie utopijnym, polskim sosie. Nie ma przy tym w Pruszyńskim bezkrytycznej idealizacji spadku odziedziczonego po przeszłości. Jest głęboka niechęć i protest przeciwko bezdusznej soldatesce, „oficerom z „dwójki”, politykom z nieprawdziwego zdarzenia, ale jest też i naiwne nieco przekonanie, że wszystko to da się usunąć bez naruszenia cze-

gokolwiek, co w tradycji jest niezaprzeczalnie dobre: ów niesłychanie niebezpieczny zakręt, gdzie historyczny romantyzm przechodzi w rzekomy polityczny realizm konserwatystów.

Niesłychanie malowniczo wygląda wszystko z tego zakrętu. W samym Pruszyńskim nie brak zrozumienia złudnego charakteru tego rodzaju miraży. Uwypukleniu ich służy opowiadanie pt. „Cień Gruczy”, gorzka aluzja do roli, jaką emigracyjna Polska oparta na przesadnej wierze w wartość i znaczenie własnej tradycji, odegrać może i musi w opinii Zachodu.

Ale realizm Pruszyńskiego nie przenosi się na rozumienie wszystkich zjawisk społecznych. My wiemy, że romantyczną baśnią, oddziaływującą głównie na wyobraźnię inteligenta idealisty, jest opowieść o podoficerze, przeżartym pruskim drylem, który w rubasznym, pijackim czerepie nosił okrych anielstwa i ciułał dolary na szkołę w rodzinnej wiosce. Jest to przełęczyna. Przeciwnie, czarne charaktery glupców na stanowiskach, oficerów z „dwójki” są najzupełniej papierowe i nieprawdopodobne, bo rozkład światła i cieni jest w całym układzie fałszywy. Aby zarysować w sposób właściwy ich granice, należałoby zejść o wiele głębiej, skompromitować wiele rzeczy, które są Pruszyńskiemu bliskie i drogie. Może kontur nie wyszedłby wtedy tak czarno, ale całość okazałaby się prawdziwszą. Psychologia w ogóle nie jest w „Trzynastu opowieściach” stroną najmocniejszą. Nie jest ona jednak i nazbyt waż-

na. Przecież o właściwy obraz psychologiczny nie chodzi tu w żadnym wypadku, chyba w najbardziej uproszczonych schematach.

Chodzi natomiast niewątpliwie o co innego: o piękną, barwną i malowniczą legendę. O odrobinę dumy sycącej narodową próżność (rzecz ważną w ciemnych latach okupacji, kiedy utwory te powstawały), dumy, że francuski malec z bretońskiego miasteczka, pytany, czym chce być, gdy dorośnie, odpowiada: „Moi je serai Polonais...”. O wzruszenie seiskające za gardło, kiedy kresowy, wileński „Ambros”, kierowca zolgu „Nelly”, duka słowa miśkiewiczowskich „Ksiąg Pielgrzymstwa” z książczyny, którą sto lat przed tym ujmowały palce innego żołnierza-tulacza. O wizję Nocy Listopadowej i brodatego starca w ceratowej maciejówce zrodzoną przez proste słowa na murach kamienicy w obcym mieście: „W tym domu żył, tęsknił i tworzył polski historyk, patriota, rewolucjonista, prezes Rządu Narodowego w roku 1831 — Joachim Lelewel”. O wyraz tych wielkich nawarstwień uczuć łatwych może i nieskomplikowanych, ale w sumie potężnych, jakie nagromadziły lata tulactwa w setkach tysięcy polskich serc na obczyźnie. Byłoby krzywdą nie przyznać, że wyraz tych uczuć został przez autora „Trzynastu opowieści” oddany w sposób świadczący o dużej artystycznej wyobraźni i bogactwie barw, jakiego tylko umiejętność odczytywania znaków kultury może dostarczyć pisarzowi i historykowi.

Ryszard Matuszewski.

SPRAWY WYDAWNICZE

PLANY I REALIZACJE (I)

„CZYTELNIK”

Nasz przegląd ezolowych wydawnictw polskich zaczynamy oczywiście od „Czytelnika”, najważniejszego dziś w Polsce — Instytutu Wydawniczego w dziedzinie literatury pięknej. Omawiając tylko interesującą nas produkcję książek i broszur możemy od razu na wstępie stwierdzić ambicję „Czytelnika” — osiągnięcia możliwie wysokiego poziomu graficznego i starannego opracowania rękopisu. Poważna rola odgrywa tu może Drukarnia Narodowa w Krakowie, zakład o świątecznych tradycjach drukarskich i doskonałym wyposażeniu technicznym; jest w tym zasługa kadr redakcyjnych, sześćdziesięciu dojrzałych. Nie chodzi nam jednak o analizę przebiegu — faktem jest, że „Czytelnik” kontynuuje dobre tradycje wydawnicze w Polsce, poszukuje takich form organizacyjnych, które umożliwią rzetelną pracę nad książką.

Bo przecież starannie wydane książki — to nie tylko kwestia lepszej drukarni. O wyglądzie zewnętrzny książki decyduje poza piętyzmem wykonania — opracowanie rękopisu, przemysłowe bez zabiegów dla książki pośpiechu każdej strony maszynopisu, każdego przecinka, odświeżacza; praca nad rękopisem kilku ludzi, długi tasienieć wiatłowości i zapytań do autora, czy tłumacza, dyskusja, która wiele daje samemu twórcy i wiele chrupawości oszczędza czytelnikowi — to wszystko stwarza atmosferę odpowiedzialnej pracy wydawniczej.

Dalsza praca nad książką, fachowo robiące, wielostopniowe korekty, uparcie śledzące za każdym procesem technicznym — korekty z lektorem, korekty kontrolne, rewizje, współpraca grafika, redaktora i drukarza — dopiero tego rodzaju wielki wysiłek kolektywny daje estetycznie wydana książka.

Takie uwagi nasuwają się przy przeglądaniu półki ze 186 wydawnictwami „Czytelnika”, planu pracy wydawniczej do 1 kwietnia b. r. Produkcję „Czytelnika” ilustruje następujące zestawienie (opracowanie statystyczne moje na podstawie dostarczonego spisu wydawnictw):

PRODUKCJA „CZYTELNIKA” do 1. IV. 1947 r.

Procentowy udział w produkcji:

Na ogólną liczbę stanowiący:	wg. ilości tytułów tyt: 186	wg. obję- tości stron: 2744	wg. wa- gowa- rozdru- ku milionów mili- onów: 3,8	wg. ar- bitra- żu mili- onów: 3,3
1. Słowniki	0,5%	1,5%	0,5%	1,6%
1a. Podręczniki szkolne	2,7%	1,7%	20,9%	20,3%
2. Prawo	8,1%	10,1%	1,7%	2,3%
3. Książki nauk.	7,5%	10,5%	3,9%	5,9%
4. Książki popu- larne-naukowe	4,3%	3,5%	2,4%	1,3%
4a. Biblioteczka rolnicza	2,7%	1,1%	3,1%	2,1%
5. Pamiętniki	1,1%	1,5%	0,5%	0,8%
6. Źródła histor.	0,5%	0,1%	0,5%	0,1%
7. Publicystyka reportaże	9,7%	7,2%	11,1%	9%
8. Literatura piękna (bez poezji i sat.)	22,7%	40,6%	17,2%	33,2%
8a. Poezje	4,8%	5,1%	1,1%	1,2%

8b. Satyry	2,7%	2,0%	1,9%	1,4%
9. Książki dla młodzieży	13,4%	12,7%	18,9%	19,1%
10. Książki dla dzieci	9,1%	2,4%	6,0%	1,7%
11. Nuliy	9,1%		1,1%	
12. Teki graficzne	1,1%		0,2%	
	100,0%	100,0%	100,0%	100,0%

Na czoło wysuwa się w powyższej tabelce literatura piękna, Cały „komplet” „Czytelnika” — 186 książek — ma łącznie przeszło 27 tysięcy stron, z czego literatura piękna stanowi prawie połowę, a książki dla dzieci i młodzieży — 15 proc. Miarą pracy redakcyjnej wydawnictwa jest fakt, że 2/3 książek (120 tytułów) — to książki wydawane po raz pierwszy drukiem; reedycje stanowią jedną trzecią dorobku „Czytelnika”. Na trzecim miejscu pod względem objętości stoją książki naukowe i prawnicze — po trzy prawie tysiące stron, następnie publicystyka i reportaże — około 2,000 stron.

Zupełnie inaczej przedstawia się ten obraz, gdy weźmiemy pod uwagę nakłady. Na pierwsze miejsce wysuwają się wtedy podręczniki szkolne (wydane w pierwszym okresie działalności czytelnika), które dzięki wysokim nakładom (1.145.000 egz.) stanowią prawie jedną trzecią ogólnej ilości wydanych przez „Czytelnika” egzemplarzy. Na drugim miejscu książki dla młodzieży, które w zestawieniu wg nakładów stanowią prawie jedną piątą produkcji. Gdybyśmy jednak nie brali pod uwagę podręczników szkolnych, których już w planie na rok 1947 nie znajdujemy i lektur szkolnych o wyjątkowo wysokich nakładach, to na podstawie powyższego zestawienia można charakteryzować „Czytelnika” jako Instytut wydawniczy literatury pięknej z ogólnym — jak dotychczas — przewagą współczesnej literatury polskiej i książek dla dzieci i młodzieży, z poważną biblioteką dzieł prawnych i naukowych. W najbliższej przyszłości ma się znacznie rozszerzyć dział wydawnictw Wiedzy Powszechnej, szeroko zaplanowany przez Instytut Oświatowy „Czytelnika”.

Dla charakterystyki nakładów i rozprowadzających książek podajemy jeszcze listę „bestsellerów” „Czytelnika”, zestawioną na podstawie zestawień za luty br. (miesiąc przeciętny w sezonie księgarskim). Nie pokrywa się ta lista z listą książek o najwyższych nakładach, spowodowanych jednak w znacznej części wcześniejszym wydaniem tych książek, kiedy każda „nowość” rozchwytywano w ciągu kilku miesięcy. Według wysokości nakładów — nie licząc podręczników i lektur — rekord bije „Dziwizjon 303” Fiedlera (50.000 egz.), Szmaglewskiej — „Dymy nad Brkenan” (35 tys. egz.) i Andrzejewskiego — „Noc” (25.000 egz.).

Ciekawszymi jest jednak znacznie popyt na książki w miesiącu lutym. Najwyższą cyfrę sprzedaży miesięcznej osiągnął również „Dziwizjon 303” Fiedlera (1663 egz.) i jego „Ryby śpiewają w Ukajali” (1647 egz.). Następnie li sta bestsellerów „Czytelnika” przedstawia się następująco: Pruszyński — „Trzynastu opowieści” (1594 egz.), Osmańczyk — Doku-

menty pruskie (1483 egz.), Kaci — Pół gó-
tów (1230 egz.), Żeromski — Popioły (1184 egz.), Dobraczyński — W ro-
wałnym domu (1030 egz.) i Bielecki —
Stara i nowa demokracja (1000 egz.). W ciągu
dwu tygodni lutego znalazła pierwszy raz 819
nabywców „Rzeczywistość” Putramenta.

Poza tą dziesiątką wysokie cyfry sprzeda-
ży osiągnęła „Gwiazda Generała Sikorskiego”
Strumpha Wojtkiewicza (923 egz.), Żukrow-
skiego Z kraju milczenia (847 egz.), Żerom-
skiego — Nowele (830 egz.), Kosack-Szczu-
klej — Wara (810 egz.), Nalkowskiej — Me-
dallion (700 egz.), Rymkiewicz — Rafał z la-
su (681 egz.) i Zawiejskiego — Noc Hibernia
(612 egz.).

Oczywiście, że jeśli nawet uważać statysty-
kę sprzedaży książek za swego rodzaju ple-
bisyt, to jest to plebisyt wysocy, nie de-
mokratyczny, gdyż przy dzisiejszych cenach
książek i braku nawyku kupowania książek
wśród szerszych mas plebisyt odbywa się
jedynie wśród zamożniejszej publiczności. —
Stąd popyt na literaturę rozrywkową, ulega-
nie modzie i rozgłosowi książki. Ciekawe by-
łoby zestawienie popytu na książki w bi-
bliotekach, które by — mam wrażenie — da-
ło zgoła inny obraz popularności niektórych
autorów i książek. Tym nie mniej jednak li-
sta „bestsellerów” każdego wydawnictwa
stanowi dla wydawcy materiał niezwykle
ważny, orientujący w sytuacji na rynku księ-
garskim i decydujący o polityce nakładów i
cen.

Książki naukowe (o ile nie są podręcznika-
mi obowiązkowymi) z trudem w wyjątko-
wych tylko wypadkach sprzedawane są w i-
lości większej niż 100 egzemplarzy, po czym
sprzedaż miesięczna spada do kilkunastu eg-
zemplarzy. Sprzedaż 3.000 egzemplarzy książ-
ki Assorodobraj — Początki klasy robotniczej
w Polsce — uważane jest za dowód wyjątko-
wego zainteresowania tą książką. W sto-
sunkowo krótkim czasie rozsprzedano w
„Czytelniku” 900 egzemplarzy Gąsiorowskiej
— „Kapitałizm w rozwoju dziełowym”. Zna-
cznie szybciej się rozchodzi książka popular-
no-naukowa, przeznaczone dla samotników.

Obrazkowe książki dla dzieci sprzedają się
obecnie b. powoli. Nastąpiło wyraźne nasycie-
nie rynku nadmierną ilością wydawnictw
gwizdkowych. W dalszym ciągu jednak brak
książek dla młodzieży.

Wiersze i zbiory satyr — jak zawsze —
czekają na nielicznych zamożnych miłośników
poezji. Sprzedaż tomików, najpopularniejszych
autorów nie przekracza 100 egz. miesięcznie.

W naszej rubryce nie miejsce na meryto-
ryczne omówienie działalności „Czytelnika”.
Gromadzimy jedynie cyfry i informacje okre-
ślające miejsce każdego wydawnictwa na na-
szym rynku wydawniczym i jego rolę w
przyszłym ogólnopolskim planie wydawni-
czym. Cyfry ilustrujące dorobek „Czytelnika”
wskazują jednocześnie na jego rolę kierowni-
czą w dziedzinie współczesnej literatury pięk-
nej i na duże osiągnięcia w organizacji pracy
nad rękopisem i książką.

Adam Bromberg

WŁODZIMIERZ MICHAJŁOW

KSIAŻKA O NAUCE RADZIECKIEJ *)

CZYTELNIKA, który bierze do ręki książkę prof. J. Dembowskiego pod powyższym tytułem, interesują przede wszystkim dwa zagadnienia. Jaki jest prawdziwy obraz nauki radzieckiej — o której wiemy wciąż jeszcze tak mało i tak niedokładnie — pod względem ilościowym i jakościowym, jak się przedstawia struktura organizacyjna wyższych uczelni i zakładów naukowych, jak realizowana jest zasada planowania w dziedzinie nauki? Z drugiej zaś strony — chcielibyśmy się dowiedzieć, które zdobycze i doświadczenia życia naukowego Związku Radzieckiego, mogłyby być, przy uwzględnieniu wszystkich różnic i odrębności zarówno historycznych jak ustrojowych, z pożytkiem przeniesione na nasz grunt i odpowiednio wykorzystane?

Jeśli chodzi o sprawę pierwszą, to mimo wyraźnego zastrzeżenia autora, iż musiał on poprzestać na bliskiej mu dziedzinie nauk biologicznych w szerokim zakresie, po przeczytaniu książki zyskujemy, jeśli nie pełny obraz życia naukowego Związku Radzieckiego, to w każdym razie najbardziej typowe jego fragmenty, na podstawie których można dość dokładnie sądzić o całości. Uderza przede wszystkim ogromny rozmach i zasięg szkolnictwa wyższego. Oczywiście nie wszystkie spośród 800 szkół wyższych istniejących na terenie Związku są wyższymi uczelniami w naszym rozumieniu. Ale nawet po odrzuceniu zakładów tego typu (np. 195 instytutów nauczycielskich oraz niektóre inne) otrzymujemy liczbę imponującą, świadczącą o tym, co autor nazywa „masowością w nauce”.

Pierwotnie nader skomplikowana organizacja wyższego wykształcenia (własny rząd w poszczególnych republikach związkowych przy równoczesnym istnieniu międzyzwiązkowego komitetu do spraw szkół wyższych) ulegała stopniowo ewolucji i obecnie znacznie się upraszcza, przez podporządkowanie znacznej części szkół wyższych Ministerstwu Wyższego Wykształcenia, obejmującemu całokształt spraw naukowych, administracyjnych i gospodarczych podlegających mu instytucji. Trudne do przetransformacji na naszą terminologię są stopnie naukowe przyznawane w Związku Radzieckim. W r. szk. 1944 było we wszystkich uczelniach Związku 5.108 profesorów, 9.832 docentów, 15.719 asystentów i 3.000 aspirantów.

Aspirant — to zdolniejszy student, który po uzyskaniu dyplomu, pozostaje przy uniwersytecie na 3 lata, mając zapewnione etatowe stanowisko przy katedrze, składając w końcu egzamin kandydacki, polegający na zreferowaniu samodzielnie opracowanych zagadnień (egzamin lub wykład). Po dwóch latach próbnych wykładów, które mają wykażać, że kandydat ma odpowiednio ukształtowaną dydaktyczną, staje się on regularnym docentem. Dalejszym etapem kariery uczynego jest ubieganie się o stopień doktora, przy czym doktrynować się wolno nie na uniwersytecie, lecz w jednym z instytutów akademickich.

Czytelnikowi polskiemu książka prof. Dembowskiego daje wiele cennych danych o wycieku informacji o opiece państwa nad studentami, udziale studentów w pracach naukowych od pierwszego roku studiów (wyprawy naukowe — balawce), stosunku instytucji naukowych do uniwersytetów, stosunku pomiędzy katedrą uniwersytecką a profesorem bez dalszych specyfikacji, o instytutach doskonalenia zawodowego, samodzielnie istniejących potężnych instytutach naukowych, muzeach i bibliotekach oraz o poszczególnych wybitnych twórcach nauki. Znaczący autentyzm. Autor zwiedził osobliście każdą z opisywanych instytucji, konferował z jej dyrektorem oraz rozprządał oficjalnym materiałem sprawozdawczym. Liczne fotografie ilustrują każde omawiane zagadnienie.

W związku z podjętą u nas próbą reorganizacji wyższych uczelni i pracami w tym kierunku Rady Szkół Wyższych, wyłania się zagadnienie racjonalnego wykorzystania doświadczenia radzieckiego w Polsce. Ograniczając się do jednego, stosunkowo wąskiego odłamka zagadnienia dotyczącego sprawy powiązania nauki z życiem społecznym i państwowym, można z książki prof. Dembowskiego wyciągnąć wiele argumentów przemawiających za planową organizacją życia naukowo-badawczego. Sprawa ta była u nas dość szeroko dyskutowana poczynając od 1945 r. („Odrodzenie”, „Książka”, „Życie Nauki”), sprawa jest niewątpliwie nadal aktualna.

„Stanowisko uczoności” — pisze prof. Dembowski — „jest w Związku Radzieckim szczególnie zaszczytne. I rząd i społeczeństwo rozumieją jasno, że nauka jest wielką potęgą, z którą nikomu nie wolno się nie liczyć, że od stanu nauki zależy dziś byt państwa i że państwo jest bezpośrednio zainteresowane w popieraniu nauki wszelkimi środkami. Ale też uczone poczuwa się tu do obowiązku utrzymywania ścisłego kontaktu ze społeczeństwem, najwybitniejsi badacze znajdują czas na pisanie artykułów popularnych i wygłaszanie odczytów publicznych, nie obawiając się „wulgaryzacji” nauki lub „obniżania jej poziomu”.

Plany badań naukowych są ściśle zespolone z bieżącymi potrzebami wynikającymi z realizacji pięcioletnich planów gospodarczych.

*) Jan Dembowski „Nauka Radziecka”, „Książka” 1947.

„Uważa się też za rzecz słuszną, aby państwo wzięło udział w wyborze opracowanych zagadnień. Skierowanie indywidualnych wysiłków ku uchwytynym celom podnosi potęgę państwa, nie przeszkadzając wycieczki jednostek w pracy badawczej. Jednostki prawdziwie oryginalne i twórcze, wędrujące własnymi drogami, zawsze znajdują poparcie państwa i zrozumienie społeczeństwa, chociażby tematy ich prac nie obiecywały natychmiastowych zdobyczy praktycznych”.

Związek nauki badawczej z życiem, zespolenie wysiłków uczonych w ramach planu badań naukowych, pozwala rozwiązywać problemy naukowe, których najgłębsza jednostka przy dzisiejszej technice i złożoności badań rozwiązać nie jest w stanie. Nie oznacza to dominowania techniki i praktyki nad nauką teoretyczną, nad t. zw. „nauką czystą”. Wręcz przeciwnie, na podłożu zagadnień praktycznych wyłania się potrzeba pogłębienia teorii, w związku z konkretnymi zadaniami sformułowane zostaje nowe zagadnienie teoretyczne i są skutecznie rozwiązywane.

Założona 30 czerwca 1944 r. Akademia Nauk Lekarskich stanęła wobec konieczności likwidacji sanitarnych konsekwencji woj-

ny. Obok badań nad różnego rodzaju skutkami wojny (np. uszkodzeniami wojennymi i utratą zdolności do pracy), Akademia przystąpiła do opracowania zagadnień wczesnej diagnozy nowotworów złośliwych, chirurgii plastycznej, chirurgii jamy piersiowej, zdolności reakcyjnej ustroju w zależności od wieku i regeneracji tkanej itp. Nic też dziwnego, że:

„Prace są prowadzone zgodnie z pięcioletnim planem, który umożliwia koordynację wysiłków w dziedzinach narzuconych wymaganiami życia. Nie żąda się w opracowaniu planów podawania wyłącznie tylko zagadnień konkretnych, dających się preeliminować. Przeciwnie, plany prac mogą zawierać tematy, których opracowanie może nie dać konkretnego wyniku i które są z konieczności związane z pewnym elementem ryzyka”.

Tak teoria, organicznie związana z praktyką, z potrzebami życia, sama na tym korzysta i rozwija się coraz intensywniej.

„Masowość w nauce” nie odbija się przy tym na jej poziomie, czego dowodem są chociażby wspaniałe osiągnięcia nauki radzieckiej, które opisuje prof. Dembowski nieco szczegółowo (malariologia, parazytologia), „Udział mas w pracy naukowej”, pisze on —

„umożliwiony przez specjalną dbałość państwa o naukę i uczonego, stwarza nowe i nie dające się obliczyć możliwości”.

Naczelną radziecką instytucją naukową, badawczą jest Akademia Nauk ZSRR, podlegająca bezpośrednio Radzie Ministrów, której corocznie przedkłada sprawozdania ze swej działalności. Ma ona mało wspólnego z akademiami typu zachodniego. Jest to instytucja zajmująca się centralnym planowaniem badań naukowych, a jednocześnie kierująca rozległą siecią własnych zakładów badań, których (53 instytuty badawcze, 16 laboratoriów, 35 stacji, 31 komisji, 15 muzeów) oraz prowadząca rozległą akcję wydawniczą (10 tys. arkuszy druku w 1941 r.) W okresie ostatniej wojny wszystkie placówki naukowe Akademii pracowały dla sprawy obrony kraju, uzyskując doniosłe wyniki zarówno o charakterze doraźnej użyteczności, jak i o wielkiej wadze teoretycznej.

Lektura pracy J. Dembowskiego winna natychmiast wszystkich zwolenników planowości w zakresie poczynania naukowo-badawczego w Polsce wiarą w słuszność ich postulatów i może ich uzbroić w nowe przekonujące argumenty.

DYSKUSJE PARYSKIE

KOMUNISTYCZNA MORALNOŚĆ

DYSKUSJĘ spowodował bodajże Mauriac, który w swoich codziennych artykułach wstępujących we „Figaro” nieprzerwanie zarzucał komunistom machiavelizm, przez co rozumiał brak zasad moralnych w głoszonych ideach i ich realizacji. Po kilku tego rodzaju atakach podchwytanych zresztą przez resztę prasy prawicowej Pierre Hervé odpowiedział na nie obszerną mową wygłoszoną w sali teatru „Marigny”.

Według artykułów „Figaro” czy „Combat”, powiedział, „wydawać by się mogło, że komuniści są straszliwymi machiawelistami i że przed tym im istnieli wszystko na świecie toczyło się w braterstwie, porządku i harmonii... a odciek się zjawili nie dzieje się do brze na świecie. Wydawać by się wprost mogło, że to my, komuniści, wymyśliśmy walkę klas i fakt istnienia bogatych i biednych”. Z zarzutami, że komuniści trzymają się zasad politycznych Machiavela rozprawia się Hervé przeciwstawiając poprostu Machiavela Marksowi i jeżeli, wywodzi, machiawelizm zasada się na mistyfikacji, to przecież właśnie faszyzm opiera się na tym samym, zdając sobie sprawę, że nie mógłby osiągnąć triumfu bez zatajenia przed ludem swoich istotnych tendencji.

Moralność istnieje u komunistów, twierdzi Hervé, ale przez to pojęcie „rozumiejący zbiór zasad prowadzenia się przyjętych powszechnie w danej grupie społecznej w danym czasie... Nie przyjmujemy istnienia jakiegos wyższego systemu moralnego dominującego nad historią, moralności opierającej się na teologii czy obskurcie, moralności wiecznej. Nasza moralność jest historyczna i społeczna... Wierzymy, że sprawiedliwość, wolność i wszystkie wartości ogólnoludzkie nie mają jednolitego znaczenia poza danymi warunkami społecznymi. To co dawniej nazywano prawem naturalnym zmienia się w zależności od czasu i miejsca. Dzisiaj prawo naturalne wyraża się w naszych dążeniach stworzenia nowego społeczeństwa i zniszczenia tych wszystkich warunków społecznych, gdzie człowiek jest stworzeniem poniżanym, ujarzmionym, pogardzanym... Wierzymy, że przymus wywierany na człowieka lub nawet jak chcą tego idealisci, wychowanie nie są w stanie same utworzyć nowy porządek. Aby zmienić człowieka należy zmienić jego warunki społeczne, jego egzystencję, trzeba więc zjednoczyć ludzi w walce o te cele”. Nie będzie tedy niemoralnym jeśli dla przyspieszenia tej zmiany czyni się „istniejący ucisk jeszcze bardziej ciężkim przez dodanie świadomości ucisku”. „Podtrzymuje nas wielka moralność, która występuje dziś we wszystkich krajach i która żąda wyzwolenia społeczeństwa z wyższości i ucisku klas... moralność, która wyraża się w życiu i walce, w żądaniach tych wszystkich, którzy mają do nas zaufanie”.

Możliwość realizacji tych zasad widzi Hervé jedynie w polityce opartej na realizmie, która nie może się nie opierać na moralności społecznej. „Francji trzeba teraz mężów stanu, (ale aby być) mężem stanu trzeba reprezentować nie to, co umiera, ale to, co ma przyszłość, trzeba być podtrzymywanym przez wielką ideę przez wielki ruch społeczny i polityczny, przez wielki entuzjazm... Niektórzy chcą nas przekonać, że Francja nie powinna się zajmować tymi historiami z węglem, żelazem czy produkcją, że Francja powinna się poświęcić kultowi czystej idei, że jej wielkością jest jej szczerść i (jej autorytet moralny). Twierdzą, że i w tym rozumowaniu znajduje się znak dekadencji. Wiemy dobrze, że cywilizacja nie istnieje i nie rozwija się, jeśli kraj nie ma swobody rozwoju ekonomicznego, a my nie chcemy przejść do rządu wielkiej cywilizacji, które znikły. My chcemy, aby Francja była ogniskiem cywilizacji żyjącej... ale aby (nim) pozostała nasi profesorowie i intelektualści muszą się uwolnić od mgły zawodowych idealizmów i dostrzec te konieczności życiowe,

których można uniknąć jedynie przez rezygnację lub śmierć. Jeśli się chce, by Francja była potęgą niezależną i utrzymała swą pozycję... (trzeba się zgodzić), że ważne są te prozaiczne podstawy życia ekonomicznego... Marksizm jest humanizmem naszych czasów, to jest humanizm, który nie ogranicza się do interpretacji świata... (jemu) chodzi o zmianę świata. W wielu ośrodkach intelektualnych wartości humanistyczne nie mają już znaczenia... Intelektualiści, już wprost z mody, nie wierzą w postęp ani rozsądek. Są pesymiści i trwoga jest ich wielkim odkryciem... Intelektualiści są smutni, bardzo smutni, nie wierzą w nic oprócz swego trójkątnego nihilizmu... Nie jest to sposób dla poparcia wysiłków kraju w jego rozwoju. Widzimy zbyt jeszcze wielu intelektualistów chodzących i czających daremnie, gubiących się w spekulacjach i dających jedynie przykłady swojej lichoty w chwil, gdy chodzi o pokazanie świata, że Francja wierzy w swoją przyszłość, w sprawę wolności na świecie... My wierzymy w skuteczność polityki, sądzimy, że jest potrzebna, bo zmienia świat, przewartościowo społeczeństwa, (ale twierdząc), że wielka polityka nie wyraża się w lkanu i pesymizmie. Wielka polityka mieści w sobie realistyczne środki w służbie spraw wielkich i szlachetnych. Sprawa Francji jest wielką sprawą, bo jest sprawą całego świata, nie rozłączna od sprawy „wolności”.

Ta mowa Hervé’a wywołała znaczny odgłos w prasie. Szczególnie pisma prawicowe na jej podstawie starały się udowodnić, że brak stałej i wiecznej moralności równa się brakowi jakiegokolwiek moralności w ogóle, co przy ekspansyjności partii komunistycznej może doprowadzić do fatalnych dla ludzkości następstw. Zresztą, czego wymagać od prawicy, skoro nawet Vercors, pisarz z lekką komunizacją, stanął na łamach „Action” w obronie moralności niezmienną prowadząc rozumowanie w następujący sposób. Założywszy za Hervé’em, że każde społeczeństwo wytwarza odmienną moralność, to w długich okresach przemian społecznych, kiedy jeszcze społeczeństwo nie jest ustabilizowane, stanęłyby ono bez kryteriów moralnych. Wtedy decydować będzie o nich czło-wiek stojący u władzy. Jedyną gwarancją dla społeczeństwa, że się nie myli i że społeczeństwo nie zwodzi będą jego słowa. Należy więc założyć a priori, że albo 1) jest to człowiek prawy, wtedy musi w postępowaniu opierać się na jakichś podstawach moralnych, które i społeczeństwo uzna za moralne, albo 2) że jest nieprawy, w którym to wypadku społeczeństwo dla własnej obrony, aby uniknąć zguby będzie musiało wystąpić przeciw niemu opierając się znowu skolei na jakichś stałych zasadach moralnych. Jako przykład istnienia moralności wiecznej podaje Vercors kłamstwo. „Nie istnieje, (twierdzi), takie społeczeństwo, które nie uważałoby kłamstwa za czyn niegodny... Jeśli zaś ludzie uważają kłamstwo za taki czyn, to nie z miłości dla cnoty, ale dlatego, że nie mają przed tym czynem żadnej obrony. Cóż wiedzą dając ludzie przebywający ze sobą? Nie poza tym co sobie mówią. Myśli drugiego są niedostępne dla żadnego z nich. Jeśli nie byłoby więc pewnym, że słowa drugiego odpowiadają prawdzie, mowa i milczenie równałoby się sobie. W takich zaś warunkach nie mogłoby się rozwinąć żadne społeczeństwo, a człowiek miałby tylko maczugę dla obrony swojego istnienia”. Przed każdym niebezpieczeństwem społeczeństwo się broni w sposób odpowiadający poczuciu sprawiedliwości. Przed kłamstwem broni się zawsze i zawsze wobec kłamcy stosuje się niesławę; wszystkie dzieci wszystkich społeczeństw wszystkich epok są wychowane w tym duchu, co oznacza istnienie stałych baz moralnych. Jeżeli dziś odstępuje się, w wyniku wpływu metod nazistowskich, od tych zasad w życiu i polityce, to „twierdząc całą siłą mego słabego głosu... że nie przyszłość nas czeka pełna nadziei ale

chaos prehistorii lub... nieubłagana tyrania”.

Niewątpliwie szczerść i uczciwość podyk-towały Vercorsowi te rozważania, tak przecież naturalne, że nie trudno było zblić Leducowi, który skolei zabrał głos w dyskusji, przytaczając niezbitą argumenty przeciwko istnieniu moralności niezmienną. „Wiadomo przecież (pisze), że dla filozofów i moralistów starożytności niewolnictwo było zupełnie prawe, jak dla ludzi średniowiecza hierarchia feodalna błogosławiona przez Boga, a dla wielu współczesnych system kapitalistyczny reprezentantem porządku moralnego. „Zależnie od warunków” zasady najbardziej uświęcane i najbardziej uniwersalne, imperatywy najbardziej kateryczne otrzymują zupełnie przeciwne znaczenie. Np. nie zabijaj! zmienia się w czasie wojny na obowiązek zabijania nieprzyjaciół”. Nawet kłamstwo, ciągnie Leduc, które Vercors uważa za regułę moralną nie podlegającą żadnym wyjątkom, jakże się zmienia w zależności od okoliczności historycznych. „Czy rzeczywiście uważaliscie za niedozwolone (cyta Leduc Vercorsa, który brał czynny udział w Ruchu Oporu), kłamać w Gestapo lub przed policją Vichy? Czy nie uważaliscie, wprost przeciwnie: za obowiązek ukrywać swoje personalia, swoją i towarzyszy działalność?... Słusznie, odpowiedź, ale miałem wówczas moralne podłoże do kłamania. Kłamstwo i gwałt były środkami walki przeciw uciskowi opartemu na kłamstwie i gwałcie. A my właśnie nie twierdzimy nie innego i na tym polega nasz realizm polityczny. Opiera się on na świadomości roli gwałtu w historii do chwili, gdy zniknie antagonizm klas. Opiera się na przy-stosowaniu akcji politycznej do zmieniających potrzeb walki, która prowadzi masy ludowe ku ich wyzwoleniu... My negujemy moralność społeczeństw, w których rządzą trupy, choć właśnie one tak swobodnie się poruszają w moralności niezmienną... Mamy niezbitą podstawy, by wierzyć, że nasza moralność jest wyższa od moralności naszych przeciwników i od moralności czasów przeszłych. Nasza moralność nie ukrywa, jak tamte, swojej zależności i swoich źródeł społecznych i historycznych. Nasza moralność nie zamierza panować w niebie metafizyki i rozkazywać w imieniu suwerennego Boga czy niezmienną natury ludzkiej. Nasza moralność nie formuluje abstrakcyjnych reguł, które byłyby ważne dla wszystkich społeczeństw i wszystkich klas we wszystkich okolicznościach. Ale nasza moralność stawia sobie za cel wyzwolenie proletariatu i wraz z nim całej ludzkości... My mamy więc moralność konkretną, opierającą się na rzeczywistości i prawdopodobieństwie a nie na miocie, moralność akcji i walki”.

Pod koniec zabrał głos jeszcze raz Hervé, który w ostry sposób atakując swoich przeciwników stwierdził, że „komuniści mają moralność, bo odpowiadając postulatowi postępu i ożywiający w walce przeciw wszystkim, co mu, co poniża godność ludzką i gardzi człowiekiem”. Prawdziwymi zaś, niemoralnymi machiawelistami są ci wszyscy, którzy „używają tyle małych, brudnych podstępów w służbie wielkiego kłamstwa”.

opr. Mariusz Margal,

TREŚĆ NUMERU 21.

Redakcja — Pisarze czeszy w Polsce; Jędrzejewski Jastrun — Norwid — poeta nieznan; Leon Schiller — Juliusz Osterwa; Stefan Żółkiewski — Powieść amerykańska; Dziennik arystokratki — (opr. W. Łukasiewicz); Kazimierz Brandys — Jamson (I); Maurycy Jaroszyński — Jędrzejewski o autonomii, szkoły i nauki; — Jan Szecepański — Traktat o opinii; Anna Kamińska — Kronika francuska; Kandyd — Tak toczy się światek; Przegląd prasy; Noty.

ANDRZEJ BRAUN

Wspomnienia z partyzantki *)

Do książki p. Dróżdz-Satanowskiej — są to wspomnienia partyzantki — nie należy przykładać miar, jakie stosujemy wobec utworów należących do gatunków ściśle literackich. Należy natomiast — jak w odniesieniu do każdego fragmentu tzw. prozy autentyzacyjnej będącej w pewnym sensie dokumentem jakichś wyjątkowo ciekawych a dla ogółu czytelników nieznanymi spraw — zwracać uwagę na realizm opisów, prawdopodobieństwo przedstawianych wypadków, typowość postaci, czyli ogólnie zjawiska charakterystyczne dla tego wycinka życia, który autor miał zamiar przedstawić. Rzecz jasna, że potrzebna jest tu masa przeżyć i materiału obserwacyjnego; ale aby z tego nie powstał jakiś mechanicznie słożony smulek faktów i szczegółów, bo nie to jest cechą potęgуюcą realizm utworu, na pierwszy plan wysuwa się sprawa selekcji, wydobycia z dużo bogatszego magazynu przeżyć, spraw najważniejszych i najbardziej typowych. Do tej selekcji konieczna jest świadomość istotnych przyczyn dziejących się wypadków i co za tym idzie ich sensu. Konieczny jest jakiś ogólny sąd o wszystkim. Obawiam się, że pod tymi względami książka Dróżdz-Satanowskiej pozostawia wiele do życzenia. Oto np. autorka z niewiadomych powodów unika geografii i kalendarza. Nazwy kilku drobnych wiosek i data 1943 r. pojawiają się gdzieś w połowie utworu, a zdajemy sobie sprawę, że sytuacja na wschodnich terenach była w czasie wojny tak różna i skomplikowana, że wszelka partyzantka anonimowość obecnie musi podrywać zaufanie. Nie mamy określenia rodzaju grupy, w której działa autorka, ideowo (A. K. czy A. L.) i sytuacyjnie, w stosunku do innych grup. Dopiero w zetknięciu się z osobami cywilnymi (str. 62—63) poznajemy trochę poglądy polityczne bohaterki — dowiadujemy się, że nie jest ona zwolenniczką „Londynu”; w roku 43 nie mógł to być więc oddział A. K.

Z kart książki narzuca się często wrażenie niezrozumienia przez bohaterkę tego, co się dzieje, dlaczego tak, a nie inaczej, dowództwo jest jakimś mitem, komendant wszechwładnym i dobrym, jak kapitan okrętu w oczach pasażerki, niezłomnym i bezwonnym. Mimo pozorów ścisłego związku, życie tych kilku kobiet w oddziale jest całkowicie oderwane od życia żołnierzy; ci ostatni są jak żelazne pionki, działające bezustannie, ale gdzieś na marginesie dni bohaterki. Mamy tu do pewnego stopnia życie w kręgu autonomicznych spraw kobiecych. Tak przedstawione, jest ono zupełnie inne od przeżyć grupy, przyczem pozycja autorki-bohaterki podkreślona jest, jako szczególnie odosobniona.

Tu dochodzimy do sedna sprawy. To nie jest historia partyzantów, obojętnie, czy w spodniach, czy w spódnicy — książkę należałoby zatytułować: „Kobieta w partyzantce”, specjalny nacisk kładąc na słowie kobieta.

Mamy tu dużo naiwności, pretensjonalności i przemieniania rzeczy wielkich na małe i odwrotnie. Psychologia kobieca we wszystkich charakterystycznych, a słabych stronach, rysuje się tu na pierwszym planie. To są najprawdziwsze momenty książki. A więc mamy i problem kobiety samej — Ona, przyszła do partyzantki z chłopcem i dla chłopca, a gdy ten zginął czuje się zagubiona. Mamy ciągle widma umarłych (czy mężczyzna w partyzantce miał na to czas?). Wśród bezustannych ofiar raczej należało pokazywać tych ludzi, jak umierał, zamiast opisywać drobniaczko i wielokrotnie sceny komunikowania sobie wiadomości pozostających przy życiu bliskim. Odnosi się wrażenie, że mężczyźni interesowali autorkę tylko jako przedmioty miłości, czy żalobę. Łzy, pocieszenie się, tulenie i całowanie przyjaciół, w zasadzie realne, dane jednak w takich ilościach, przypominają powieści Czarskiej. Mamy rywalizację o pozostałych przy życiu mężczyzn, która również, może i prawdziwa, wysuwa się w oczach kobiety, jako główny motyw akcji. Mamy ciągłą zawiść w stosunku do kobiet spędzających wojnę w domu, w „normalnych warunkach” itd., itd. Kompozycja książki jest chaotyczna, co oczywiście nie jest tu wadą istotną. Ale

*) Zofia Dróżdz-Satanowska: „Niewydeptane ścieżki”. Ze wspomnień partyzantek. Wyd. „Panteon” 1947 r., str. 304.

czemu historia Heleny i jej pamiętnik znajdują się gdzieś przy końcu? Postać żywą jest przede wszystkim Jaś (jedyne typowe partyzant w tym towarzystwie), Edzio i Ludwisia, a zupełnie mityczny i nieprawdopodobny jest Władysław, dezertor. Czytając poszczególne sceny, ciągle widzimy jak autorka zahacza tylko o sprawy ważne i skomplikowane, które widziała w rzeczywistości, a które są dobre jako realny materiał. Ale deformująca świat i zacierająca proporcje psychologia kobiety postawiona w centrum wszystkich zagadnień, nie pozwala jej wydobyc całkowitych wartości artystycznych z owych scen. Do nich należy sprawa wielu różnych ideologicznych i politycznych grup partyzantek (sowiecka, A. K., A. L., banderowcy), ludność tubylcza kilku narodowości, narażenie jej na represje itp. Dobre są wszystkie sceny, wzięte z życia na gorąco, powszednie w losach partyzantek: a więc, z Własowcami, przejście przez rzekę i tor (str. 48—50), ciągle krycie się przed samolotami, epidemia tyfusu, dobijanie rannych, wysadzenie pociągu, odbicie ciała Heleny, a zwłaszcza przedzieranie się przez front i okrajenia (str. 260—262). Gorzej wypadają sceny częściowo fikcyjne: np. zupełnie nieprawdopodobnie wygląda historia z niedosłą egzekucją Jasia, tym bardziej, że ludność wsi była ukraińska; scena z obrabowaną przez partyzantów panienką jest całkowicie sztuczna. Autorka dobrze wie, że partyzantka musiała być realistką, aby utrzymać się przy życiu, często wbrew etyce; wie dobrze, gdyż pokazuje, jak jedna z dziewcząt, zaszedłszy w ciążę, w krytycznych dniach przedzierania się przez front, dokonywała poronienia. Nawiasem dodam, że za to została osądzona przez jedną z czytelniczek „Dziś i Jutro” jako „gorsza niż Hitler”. Żadna obrona etyczna, tak jak i w wypadku dobijania chorych, nie pomaga, bo tutaj działa tu, bezwzględne prawo partyzantki — konieczność. Dlatego obrona takich czynów kategoriąmi etycznymi przez autorkę wygląda tak nieporadnie. Realistyczna jest scena z księdzem i dziećmi, choć oczywiście nie jest ona typowa.

Wierna swemu podziałowi na sprawy ważne i nieważne, zdumiewa nas mocno autorka, opisując działania po przejściu frontu. Odezwana psychologia ludzi przedstawionych razem w inne warunki, psychologia przypomina trochę „Droga powrotna” Remarque’a, z kwestią niemożności dostosowania się żołnierzy do życia pokojowego, — zastępuje autorka wszelkie obiektywne opisy np. dane o ułokowaniu oddziału w czasie i przestrzeni. Czyżby na wschodzie tak przeżywało zmienne władzy? Reakcja na wyjście z lasu jest w dalszym ciągu bardzo kobieca: żal, żeśmy w partyzantce zbrzydli!

Dalsze zastrzeżenia. Jeżeli był to oddział organizacji lewicowej, a tak by wynikało z książki, dziwnie wydają się rozważania prostej Janiny na temat, co robić będzie po wojnie. Ostatecznie ludzie, walczący w szeregach takiej organizacji musieli mieć jakiś swój program na powojenne czasy i musieli w jego urzeczywistnienie wierzyć. Pomimo tego spłycania wszelkich spraw, cała druga połowa książki, jako bardziej dramatyczna w wypadkach, jest ciekawsza i mniej budzi nieufność. Autorka przeszła przez najciekawsze sytuacje, jakie można było znaleźć w partyzantce, jednakże przez zwrócenie swego zainteresowania do losów kilku kobiet w oddziale, a nawet nie losów, tylko przeżyć wewnętrznych, nastrojów, sympatii i antypatii, jednym słowem do całej drobniaczkowej i prywatnej sfery przeżyć, plotkarskich, jak w każdym odosobnionym zespole — nie mogła dostrzec i pokazać czytelnikowi prawdziwego obrazu partyzanckiego życia. Przyczyn motorów i skutków działania, poza erotycznymi. Sytuacji zastanych i ich przeżywania. Ssensu politycznego odgrzywanej roli, celów i stopnia ich osiągnięcia. Wiemy, że było trudno, chłodno i głodno — nie wiemy kim byli ci ludzie, po co przyszli do partyzantki i o co walczyli. Oprócz kobiecych rywalizacji było tam napewno wiele ciekawszych dla czytelnika spraw. Autorka pokazuje je tylko częściowo i jakby mimochodem.

Andrzej Braun.

PRZEGLĄD PRASY

Komentarz Aleksandra Wata do ogłoszonego w nr 18 „Odrodzenia” konkursu na temat „Miejsczko polskie roku 1947” jest interesującym echem toczonych przed rokiem boję o realizm. Wat stwierdza, że „Wokanie o realizm nie jest wymysłem „Kuznicy”. Odpowiada ono niewątpliwie istotnej potrzebie, naturalnym zainteresowaniom społeczeństwa, które... chciałoby się w literaturze przeżyć doświadczenia jak w lustrze... Dotychczasowe próby takiego realizmu, podjęte przez naszych pisarzy, na ogół (przyp. mój) wydają się chybione. I na ogół (przyp. mój) chybłać muszą ponieważ rozwój literatury europejskiej za daleko poszedł w zupełnie innym kierunku, odbiegającym coraz bardziej od drogi realizmu, cały aparat środków, cała zawodowa wiedza literacka, której i nasz pisarz na ogół (przyp. mój) nie jest w stanie poniechać, nieuchronnie go od realizmu oddala”.

Wydaje mi się, że pisarze powinni być wdzięczni Watowi za te kilka zdań, które dyskretnie wskazują na zasadnicze trudności przewidywania dotychczasowego kierunku naszej literatury. Niewątpliwie nie cała nasza proza pozostaje w klótni z zasadą, w myśl której „społeczeństwo pragnie przeżyć się w literaturze jak w lustrze”. Trudno jednak zaprzeczyć, że w zgodzie

ne, ale gotów jestem je przyjąć, pamiętam bowiem fakty z historii literatury: Zbigniew Uniowski w okresie najświeższego rozwoju stylizatorstwa w prozie dał jedną z niewielu quasinalistycznych powieści („Wspólny pokój”). Ale gdy myślę skolei o jednej z niewielu naprawdę realistycznych książek dwudziestolecia, o „20 latach życia”, to wiem napewno, że to już nie była książka outsidera, lecz książka świetnego, rasowego pisarza, rozporządzającego nader urozmaiconym warsztatem literackim. Realizm Uniowskiego był realizmem z wyboru (pamiętnik mój wskazuje na to, że Uniowski mógł swobodnie poruszać się w innych rodzajach prozy). I tu dochodzimy do sedna sprawy: czy dyktant, outsider, w którym Wat pokłada tyle nadziei, nie pojawia się w naszej literaturze, nie pojawia się w innych rodzajach prozy? I tu dochodzimy do sedna sprawy: czy dyktant, outsider, w którym Wat pokłada tyle nadziei, nie pojawia się w naszej literaturze, nie pojawia się w innych rodzajach prozy? Czy ocena artystycznych wartości takiej prozy nie będzie musiała, biorąc pod uwagę sytuację outsidera, obniżyć nieco swoich wymagań? Czy w związku z tym nie rozpocznie się sztuczne forowanie pewnych gatunków twórczości? Czy nie doczekamy się nieporozumienia, że reportaż i faktografia, jako dwie niezawodne metody zwierciadlane, zostaną sztucznie przesunięte w hierarchii wartości? Czy zamiast Balzaca wzorem dla pisarzy nie stanie się Balzac ukatowany?

Te wszystkie pytania nasuwają się przy lekturze artykułu Wata. Z drugiej jednak strony należy podkreślić, że Wat bynajmniej nie zachęca przyszłych uczestników konkursu do zamknięcia się w ramach faktomontażu czy reportażu: W przeświadczeniu, że literatura nie może być jednokierunkowa nie stawiamy konkursantom żadnych ograniczeń formalnych.

Kolejnym aspektem tego konkursu, zgodnie z intencją Wata, jest „wyławianie talentów”. Być może, że konkurs „Odrodzenia” przyniesie materiał ciekawszy od tego, jaki doznaliśmy niemal sypki na biurka redakcyjne, a z którego jak wiadomo za jego lektury czasopism literackich, niewiele utworów tylko ukazują się w druku. Jeśli konkurs „Odrodzenia” wydał owoce, będziemy wszyscy wdzięczni temu piśmu za jego pionierski krok. To, co napisałem powyżej daje raczej wyraz ostrożnemu mniemaniu, że owocami konkursu okazały się raczej utwory faktomontażowe lub reportaży. Obym się mylił i oby „Odrodzenie” mogło mi tę pomyłkę wytknąć!

W nr. 20 „Wsi” znajdujemy, w związku z konkursem „Odrodzenia” kilka uwag młodego i doskonale zapowiadającego się krytyka, Lecha Budreckiego, p. t. „Nasza prowincja”. Budrecki analizuje pokrótce społeczną i ekonomiczną strukturę prowincji i nie ukrywa bynajmniej przed nami tej smutnej prawdy, że udział szerokiej mas prewencji w działalności kulturalnej jest bardzo znikomy: „Kto bierze udział tutaj w jakiegokolwiek działalności kulturalnej? Naprawdę niewielu, bardzo niewielu. Rejestr nazwisk okazałby, że wypełniali go i wypeł-

niają przedstawiciele miejscowych „wyżyn” społecznych. A reszta? Reszta po ukończeniu najwyższej sześciu klas wracała do zajęcia swoich ojców...”. Jak widzimy, to smutne, lecz odpowiadające rzeczywistości stwierdzenie, stwarza z perspektywy dla konkursu, który według słów młodego krytyka jest „hasłem do ponownej inwazji prowincjonalizmu”, co w tym stanie kulturalnym, w jakim znajduje się prowincja nie wróży nic dobrego. Nie zapominajmy, że przemiany ekonomiczne i społeczne nie mogą w ciągu dwóch lat radykalnie zlikwidować małomieszczańską hegemonię w miasteczkach prowincjonalnych, tym bardziej, że dobrodziejstwo oświaty od niedawna dopiero stało się udziałem powszechnym. Jak zwykła przy rozpatrywaniu odległych zdawałoby się zagadnień literackich i kulturalnych, jak sztydło z worka wychodzi niezbita prawda, że rozwój kulturalny kraju nie jest możliwy bez zasadniczej reformy w dziedzinie oświaty na wszystkich jej szczeblach.

Kończąc te pobleżne z konieczności rozważania, chciałbym dla uniknięcia wszelkich nieporozumień sprecyzować następująco: konkurs „Odrodzenia”, który dał okazję do zastanowienia się nad sprawą dopływu świeżych sił do naszej literatury jest oczywiście zjawiskiem ze wszechmiar dodatnim. Piśmo spełni swoje zadanie — wyłowi z pewnością kilka talentów. Nie załatwia to jednak sprawy, która tak bardzo nas wszystkich interesuje. Dopływ talentów z miasteczek czy wsi stanie się faktem kulturalnym i będzie miał istotny wpływ na kształtowanie się spraw literatury dopiero wtedy, gdy będzie się odbywał w drodze normalnej, podobnie jak przez lata całe zasilał naszą literaturę dopływ jednostek z warstwy mieszczańskiej czy szlacheckiej. Jeśli dziś potrzebny jest jeszcze bodziec konkursu, jutro, w wyniku przekształcającej się sytuacji ekonomicznej i społecznej dopływ nowych sił do literatury będzie się odbywał normalnie i regularnie. Zmienią to niewątpliwie dotychczasowy kierunek tej literatury. Idzie tylko o to, by w tej zmianie nie zostały zatracone dobre elementy rzemiosła, jakie wykształcił okres poprzedni. Konkurs w dzisiejszej sytuacji daje szansę „geniuszom”. Wszystkim nam jednak zależy na osiągnięciu tego stanu rzeczy, gdy wysoka średnia przeciętna dalekich dziś jeszcze od kultury środowisk wydawałoby się pisarzy nie-outsiderów, lecz takich którzy będą zaprawiać się do tego rzemiosła. Wiemy, że w odpowiednich warunkach i przy istnieniu odpowiednich instytucji społecznych (powszechność i dostępność oświaty) stan taki jest osiągalny. Do realizacji, do jak najszybszego osiągnięcia tego stanu zmierza praca postępowych pracowników nauki i sztuki, postępowych działaczy społecznych, postępowych nauczycieli szkół średnich i powszechnych. Ich wspólna i odpowiedzialna praca wprowadzi kiedyś do literatury nowe talenty już nie na zasadzie konkursu, lecz drogą normalnej wymiany inteligencji mieszczańskiej przez inteligencję pochodzenia robotniczego czy chłopieckiego.

p. h.

KORESPONDENCJA

Szanowny Panie Redaktorze!

W Nr 13 z dn. 30 marca br. „Tygodnika Powszechnego” przeczytałem artykuł p. Pawła Jasienicy na temat polityki zagranicznej, prowadzonej w okresie przedwrześniowym przez Piłsudskiego i Becka.

P. Jasienica usiłuje przy pomocy argumentacji zaczerpniętej ze średniowiecznych podręczników scholastyki dowiedzieć, że p. Beck prowadził politykę niezależną wobec Niemiec, że nawet proponował mocarstwom zachodnim samodzielną akcję wojskową przeciw Hitlerowi. Hegłowi zrobił podczas wykładu student zarzut, że jego teorie nie mają pokrycia w rzeczywistości. „Tem gorzej dla rzeczywistości” — odpowiedział Hegel. Naturalnie teraz się okazuje, że wszyscy byli przeciwko Hitlerowi. A jeśli opinii się wydawało, że jest wręcz odwrotnie, to to była polityka maskowania, którą teraz już można przeciw ujawnić.

Ale na szczęście czasy nie są takie dawne. Pamięć nasza też niezupełnie zawodzi. A akta dyplomatyczne też gdzieś gdzieś się jeszcze przechowały.

Nic to, że każdy krok Becka był zsynchronizowany z polityką Hitlera, że Zaolzie było echem Sudetów, że marsz na Kowno był odpowiednikiem anshlusu, że wypowiedzenie traktatu o mniejszościach narodowych było chęcią nadgrzyzienia zarysowanej budowy Ligi narodów, że wspólna granica z Węgrami była sypaniem piasku w oczy zanępką wojennej i balałmuconej opinii polskiej. Te wszystkie bezsporne fakty historyczne, znane każdemu, który się mniej lub więcej interesował sprawami polityki zagranicznej, potwierdzane przez archiwia MSZ, wszystkich państw europejskich, nie mają żadnego znaczenia. Postawa ministra spraw zagranicznych Polski przedwrześniowej, tak plastycznie i wiernie uchwycona w lokajskim ukłonie Becka na stopniach pałacu w Berchtesgaden, którego fotografia, umieszczona w Daily Telegraph oświetla cały świat, wywołując zażenowanie u każdego Polaka o mniej lub więcej rozwiniętym poczuciu godności narodowej, była dostatecznie znana i potępiana przez polskich patriotów nawet, jeśli byli członkami stronnictwa rządowego, gdyż pogarda Becka dla niezależnej opinii była powszechnie znana.

To wszystko dla p. Jasienicy nie przedstawia żadnej wartości. Natomiast dla p. J. ważne są wiadomości otrzymane z agencji JPP (Jedna Pani Powiedziała). A mianowicie: „Dzięki uprzejmości p. Aleksandra Bocheńskiego uzyskałem dostęp do materiału opracowywanego przez jego brata s.p. Adolfa... który poległ śmiercią bohatera... Opublikował on w piśmie „Orzeł Biały” artykuł,

w którym zreferował wypowiedź Genevieve Tabouis, która...”, twierdzi, że Piłsudski w r. 1933 proponował mocarstwom zachodnim akcję zbrojną przeciwko Hitlerowi. „Nota została doręczona francuskiemu ministrowi wojny, Daladierowi. Nie znajduje się ona w aktach francuskiego MSZ i sekretarz generalny nigdy jej nie widział. Notę pozostawiono bez odpowiedzi”.

A więc gdzieś ktoś kiedyś słyszał o tym, że Beck proponował wspólną akcję z mocarstwami zachodnimi przeciwko Hitlerowi i na wet wystosował w tej sprawie notę do rządu francuskiego. W aktach jej nie ma, generalny sekretarz francuskiego MSZ nigdy jej nie widział, na notę nawet nie odpowiedziano (dziwne obyczaje dyplomatyczne). W ten sposób operuje się rzekomymi faktami historycznymi, aby bezkrytycznemu czytelnikowi zasugerować, że polityka Becka miała jednak zabarwienie antyhitlerowskie. I to wszystko się pisze ad maiorem Becka gloriam.

P. Jasienica naturalnie odżegnuje się od polityki Becka, Piłsudski i Beck naturalnie popełniali błędy, ale artykuł jest w ten sposób skonstruowany, że wywołuje atmosferę przychylną dla polskich monarchizyków.

P. Jasienica jako motto dla swego artykułu wybieraającego politykę Becka podaje zdanie b. ambasadora francuskiego w Warszawie Leona Noela. „Świadczymy się cyganami dziełmi kradzionymi”. Noel był jednym z najbardziej szkodliwych przedstawicieli kierunku monarchistycznego w francuskiej Kwal d'Orsay. Jest rzeczą jasną, że francuscy monarchizycy (Noel i Bonnet już wydali pamiętniki, stanowiące obronę ich działalności politycznej) w swych publikacjach przedstawiają siebie jako przewidywających dyplomatów. Ale przecież nikt inny, jak właśnie Noel podpisywał w Compiègne 22. czerwca 1940 r. w historycznej salonce marsz. Focha warunki kapitulacji Francji i ten podpis bezspornie wpłynął na utratę przez Francję mocarstwowego stanowiska w Europie.

Noel powiada: „Przyczyny, które wtargnęły świat w drugą wojnę światową były zbyt potężne, by ktokolwiek mógł się chępcie, iż zalczył politykę zdolną odwrócić podobną katastrofę...”. W ten sposób Noel sobie a priori stwarza alibi dla obrony swojej uległości wobec niemieckiego imperializmu, a p. Jasienica ma pierwszorzędny autorytet, na który się może powoływać.

Reżyseria jest bez zarzutu. Ale jest obowiazkiem niezależnej opinii demaskować te machinacje i ukazać społeczeństwu prawdziwe oblicze monarchizyków.

(—) Mieczysław Łabędzi.

Katolicy francuscy w Polsce

Gosciła niedawno w Polsce grupa francuskich intelektualistów i działaczy katolickich. Była w Warszawie, zaważała i o Łódź. Mielimy możliwość osobistego zetknięcia się z przedstawicielami postępowego francuskiego ruchu katolickiego. Wysłuchaliśmy interesujących prelekcji: Stanisława Fumet, redaktora „Temps Présent” na temat katolickiej interpretacji poezji Baudelaire’a, odczytów ks. Szymona Ligier i ks. André Depierre, którzy rozwinęli przed naszymi oczyma obraz żywej działalności reprezentowanego przez siebie odłamu francuskich katolików, dążących do zespolenia swych poczyną z poczynaniami mas robotniczych i chłopskich, z postawą warstw reprezentujących społeczność lewicę. Trudno nie przyznać, że zarówno treść i sam styl, którym przemawiali do nas reprezentanci francuskiego kościoła, stanowiły napewno również i dla licznych zebranych na odczytach przedstawicieli polskiej inteligencji nie małą niespodziankę. Potwierdziły one całkowicie te nasze wyobrażenia o zadaniach katolicyzmu, jakie w poczuciu pełnego zrozumienia dla społecznej roli instytucji kościoła w Polsce głosi i wyraża cały polski obóz postępu. Wysłuchaliśmy pełni szacunku i podziwu żarliwych słów księdza robotnika, który mówił o współudziale francuskiego duchowieństwa w trudzie i walce francuskiego świata pracy, zrozumieliśmy w całej pełni, dlaczego we Francji w czasach okupacji okazała się możliwa tak daleko posunięta solidarność ugrupowań katolickich z ruchem robotniczym i ich wspólna akcja we francuskim ruchu oporu.

Słuchając Stanisława Fumet, mogliśmy pojąć łatwo jak to się stało, że ten gorący patriota i katolik przesiedział wiele miesięcy w więzieniu za artykuł napisany w obronie Żydów, patrząc na ks. Aleksandra Glasberg, mieliśmy w pamięci, że to on właśnie organizował w czasie okupacji pomoc dla uchodźców z krajów środkowo-wschodniej Europy. Wszyscy księża i działacze, których witaliśmy u nas (do tych, których nazwiska wymieniliśmy dodać należy wspomnianą żołnierską postać franciszkanina O. Bohawentury Boudet), — to czynni uczestnicy walki zbrojnej z faszyzmem.

Za umożliwienie nam zetknięcia się z przedstawicielami tak pojętej myśli katolickiej winni jesteśmy Towarzystwu Przyjaźni Polsko-Francuskiej uznanie i wdzięczność.

rdc

Chudy uczony

Za mało mówi się o sytuacji materialnej twórczo pracujących uczonych, humanistów i przyrodników.

Znamy mój teoretyczny fragment rozprawy otrzymał niespełna zł 3.000, — za 5 kolumn druku formatu dużej książki. Za rezultat pracy i przemyśleń już nie miesiąc — a lat.

Towarzystwa i instytucje naukowe nie wyrównały przecież strat i ubytków majątku spowodowanych wojną. Społeczeństwo zaś mniej jakoś myśli o uczonych niż o artystach. Dlatego nie słyszy się jakoś nic o nagrodach dla uczonych. Gdy tak często — i



słusznie — rozdzielane są nagrody artystom, nagrody i miejskie i wojewódzkie oraz fundowane przez czasopisma i wydawców.

Myślę, że nie ma co marzyć nawet o jakimś wydatnym podnoszeniu honorariów (procentów czy stawki wierszowego) za prace naukowe. I tak jest dziś niezmiernie trudne wydać pracę naukową, przy takiej podwyżce byłoby jeszcze trudniej. Nie należy jednak tolerować stanu rzeczy, w którym owoc wieloletniego wysiłku matematyka czy filozofa wynagradzany jest sumą zł 3.000, —. A niestety rozprawa logiczna, nad którą pracuje się lata nie da się napisać w postaci „roman fleuve”, będzie zawsze krótka.

Sądę przeto, że Ministerstwo Oświaty lub Fundusz Kultury Narodowej winien przeznaczyć pewne sumy w budżecie na stałe premiiowanie tych uczonych, którzy w ciągu roku (czy dłuższego okresu czasu) publikują ważne minimum prac badawczych.

Taka opieka nad uczonymi opłaci się społeczeństwu stokrotnie.

Podobnie winna być potraktowana sprawa nagród. Nagrody miejskie i wojewódzkie, nagrody czasopism i wydawców winny przypadać nie tylko artystom, ale i uczonym.

Proponuję redakcji „Odrodzenia”, by dała dobry przykład. Niech tegoroczna nagroda przypadnie czy to Ninie Assorodobraj, czy prof. Dembowskemu, czy Janowi Kottowi za piękne książki.

żlk.

Fiedler i matematyka

Matematyka nasza była chlubą Polski w latach międzywojennych. Matematykę i logikę mieliśmy naprawdę mocarstwową. Uczeń nasi byli pionierami postępu w tych dziedzinach, cytowani i czytani na całym świecie.

Dzisiaj z naszymi wydawnictwami matematycznymi i logicznymi jest źle. Brak odpo-

wiednich drukarni, brak odpowiednich czcionek, brak zecerów, którzy by dali sobie radę z matematycznym tekstem.

Rozmawiałem z najznakomitszym naszym topologiem, który upewnił mnie, że czekają gotowe prace naukowe o ogromnym znaczeniu.

Sądę, że poczucie społeczne, zrozumienie interesu kraju i wyczuwanie korzyści tej najlepszej polskiej propagandy międzynarodowej winno skłonić wydawców do stworzenia przez choćby trzy nasze największe spółdzielnie stałego funduszu wydawniczego, który by umożliwił nabycie odpowiedniego sprzętu drukarskiego i regularne publikowanie polskich prac matematycznych i logicznych. Jako społeczne zadośćuczynienie za Arkadego Fiedlera.

żlk.

Naukowcy niemieccy na usługach Ameryki

Reuter podaje: Według opublikowanego tu sprawozdania wojskowego, przewiezieni po wojnie do Sta-

nów Zjednoczonych Niemcy naukowcy i inżynierowie przyczynili się do postępu nauki amerykańskiej w pewnych dziedzinach o 10 lat. Zaoszczędzili oni Ameryce niezliczone miliony dolarów.

350 naukowców niemieckich przejdzie wkrótce do prywatnego (nawet — przyp. nasz) przemysłu amerykańskiego. Nie będą



jedynie dopuszczeni ci z naukowców, którzy współdziałali w akcji hitlerowskiej. Sprawa uzyskania przez tych Niemców obywatelstwa amerykańskiego nie jest zde-

JANUSZ MINKIEWICZ

ENTLICZEK — PENTLICZEK

(Plagiat z Brzechwy w jednym akcie z prologiem i epilogiem).

OSOBY:

STANISŁAW FURMANIK, dyrektor departamentu literatury w ministerstwie kultury i sztuki.
MICHAŁ RUSINEK, dyrektor departamentu teatru w ministerstwie kultury i sztuki.
E. KUTHAN, inicjator prywatny; (za sceną).

PROLOG

Entliczek — pentliczek, koniecsek, furmanik, Furmanik, Rusinek, Rusinek, Kuthanik...

AKT I

Spotkali się w biurze (bo brzydzą się szynkiem).
Dyrektor Furmanik z kolegą, Rusinkiem.
I swemu koledze dyrektor Rusinek
Podaje wycięty z „Przekroju” wycinek:

STANISŁAW FURMANIK

**PODSTAWY
WERSYFIKACJI POLSKIEJ!**
(nauka o wierszu)

Warszawa

WYDAWNICTWO E. KUTHANA

Kraków

MICHAŁ RUSINEK

**ZIEMIA
MIODEM PŁYNĄCA**
(II wyd.)

— Ten Kuthan jest byczy — Furmanik tak wrzaśnie, —
Ze książkę wydaje nam dwóm tylko właśnie,
Ze w Polsce nie widzi już innych talentów,
Krom tych dyrektorskich, od departamentów!

RUSINEK (podejrzliwie)

A może ten Kuthan nie działa bezstronnie?
Chce mieć z nas korzyści?

FURMANIK (gwałtownie)

Ach każdy, lecz on nie!

Pan Kuthan, swą firmę chce mieć bardziej prężną
Ustalił przed rokiem nagrodę pieniężną;
A nie chce z sumieniem popadać w kolizję.
Poprosił by jury powzięło decyzję.
Zebrało się jury na kilka godzinę...

RUSINEK (chępliwie)

Kto dostał nagrodę?...

FURMANIK (tryumfująco)

Dyrektor Rusinek!

RUSINEK (rzeczowo)

W ten sposób E. Kuthan wypełnił swój planik...

FURMANIK (chępliwie)

Kto wchodził do jury?...

RUSINEK (tryumfująco)

Dyrektor Furmanik!

FURMANIK i RUSINEK (śpiewają razem)

Niech żyje przypadek, niech żyje, oj dana,
Co zjednał nam (czemu?) przychylność Kuthana!
Niech płynie mu życie bez trosk, niepokoi,
Niech mocno i pewnie dzisiaj Kuthan nasz stoi... (bis)

EPILOG

Entliczek — pentliczek, koniecsek, furmanik, Furmanik, Rusinek, Rusinek, Kuthanik...

Redaguje: Zespół „Kuznicy”.

Wydawca: Zespół „Kuznicy”.

REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.

Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.

CENA OGŁOSZENIA:

Za 1 mm na 1 szpalcie 40 zł.

D-015927 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, żwirki 2.

cydowana. Każdy Niemiec po wygaśnięciu kontraktu może powrócić do swego kraju. Członkowie rodzin pozostający w Niemczech mają zagwarantowane przydziały żywności w wysokości 2.300 kalorii dziennie, opał, ubranie i mieszkanie w specjalnie stworzonej miejscowości w Bawarii. Jeżeli nastąpi zawarcie długoterminowej umowy z niemieckim uczonym, będzie on miał prawo prowadzenia rodziny do Ameryki.

Coraz lepiej

bs.

Nowy Don Kiszot czyli p. Dzikowski walczy z wiatrakami

Nieoceniony p. Dzikowski wystąpił w nr. 134 „Gazety Ludowej” z artykułem „Literatura zniekształcona”. P. Dzikowski walczy bohatersko z nadrealizmem we współczesnej polskiej literaturze. — Konia z rżędem gotów jestem ofiarować p. Dzikowskiemu, jeśli by wskazał, gdzie prócz powieści Tadeusza Kwiatkowskiego znajduje się dziś cechy nadrealizmu. A może p. Dzikowski z właściwym sobie brakiem znajomości nowoczesnych prądów literackich pomieszał nadrealizm ze wszystkim, co przekracza metody pisarskie, według których zostały napisane „Kłopoty starszego pana”? Obskurantyzm p. Dzikowskiego pozwala na snucie takich domysłów. Figlarny autor „Kłopotów starszego pana” pragnie widocznie odwrócić uwagę czytelników od rzeczywistych zagadnień literatury i częściej ich wymyślonymi. Maluczko, a ujrzymy w Warszawie pochod właścicieli sklepów z ulicy Marszałkowskiej, wiernych czytelników organu p. Dzikowskiego, z transpa-



rentami! Jesteśmy realistami! Żądamy wyższej marży zarobkowej! Precz z nadrealizmem!

lr

Ważyk i radykalni katolicy

Numer 20 (77) „Dziś i Jutro” z dn. 18 maja przynosi zaraz pod tytułem czasopisma wzruszające i pełne niepokoju pytanie: „Adamie, gdzieś ty?”



Pospieszamy uspokoić stroskanych radykalnych katolików — Adam Ważyk wyjechał 15 maja tylko do Paryża, niedaleko, wróci niedługo. Cierpliwości, spokoju.

rdc.

Zdania i uwagi

Francuski miesięcznik „Esprit” (kwiecień 1947) przynosi w swoim dziale not („Journal a plusieurs voix”) zebrane z łamów prasy i z przemówień publicznych zabawne zdania i maksymy. Cytujemy kilka spośród nich:

„Pracuję jak zwykle przeciw prawdom”.
(Jean Cocteau — Spectateur)

„Nie jestem na tyle zarozumiały, aby podawać dokładne cyfry”.

(M. Minjoz — Palais Bourbon)

„Bóg potrafi doskonale w odpowiednim momencie dopuścić do władzy ludzi, jakich trzeba, żeby robili to, co należy robić, gdy naród jest mu wierny — i potrafi pobudzać ludzi, jakich trzeba, żeby robili coś wręcz przeciwnego niż to, co powinno być zrobione, gdy naród go odrzuca”.

(Les Volontaires du Sacré — Coeur)

„Nasze minimum życiowe staje się minimum śmiertelnym”.

(Aux écoutes)

„Co pozostanie z powieści, którą przera-
biaz na ekran?”

— Nic godnego uwagi.”

(Leonide Mogny, Opera)



„Pod ziemią mamy zapas węgla na okres 600 lat. Na powierzchni jest p. Shinwell. Czy nie dachy się rozwiązać problemu przestawiając porządek rzeczy?”

(Yorkshire Post)

„Dość jakarów, dość palaczy tytoniu, dość obgryzionych paznokci, dość tików nerwowych!”

(Le peuple)

„Sam Kant, wielki samotnik z Królewca czytałby Readers Digest, gdyby żył dzisiaj”.

(Selection)

h.k.